

NR 45
styczeń – marzec
2004

aleje 3

KWARTALNIK
KULTURALNY
CZĘSTOCHOWY
ISSN 1427-8812 cena 2 zł

W NUMERZE:

Blee manifestuje * Grzegorzewska o milczących humanistach * Ratusiński o sacrum * „Ziut” Gralak o tryumfie miernoty





rysunki Arkadiusza Zajęca – powyżej „Zamknięci we własnym odbiciu” 2003, tech. mieszana
– 1. str. okładki „Złoty owoc” 2003, tech. mieszana



SPIS TREŚCI

z miasta	3
publicystyka	6
podróże	12
poezja	17
notatki z czasu	20
proza	21
młode pióra	23
recenzje	31
ze sztuką na ty	35
muzyka	36
teatr	40
film	41
plastyka	42

aleje 3

KWARTALNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY
Pismo finansowane przez
Urząd Miasta Częstochowy

WYDAWCA

Biblioteka Publiczna
im. dra Władysława Biegańskiego
w Częstochowie
Aleja Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
kontakt: BOGDAN HENNIG

REDAKCJA

Biblioteka Publiczna
Aleja Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
e-mail: bp-bp@wp.pl bpiwb@wp.pl
tel. 360-56-28

Zespół redakcyjny

KRYSTIAN PIWOWARSKI – redaktor naczelny
SŁAWOMIR BURSZEWSKI – literatura, komiks,
twórczość młodych
ARKADIUSZ ZAJĄC – szata graficzna, okładka,
plastyka, ilustracje

Redakcja tekstów:

Anna Wolańska (strony) od 9–11, 14–15, 20,
21, 24, 25, 27–30, 31, 36–39, 40, 41, 44–48,
50 i korekta całość

Mirosław Łopot (strony) od 3–8, 22, 23, 26, 32,
33, 34, 35

Redakcja techniczna, skład, łamanie, druk
DRUKARNIA CZĘSTOCHOWSKIE
ZAKŁADY GRAFICZNE SA

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i opracowania
redakcyjnego materiałów przyjętych do druku.

INFORMATOR

- 06.02 – 07.03 I Ogólnopolski Salon „Martwa natura w fotografii” Miejska Galeria Sztuki
- 17.03 Przegląd Małych Form Teatralnych, ZSZ im. M. Grzegorzewskiej
- 26.03 – 25.04 XXIX Plener Jurajska Jesień 2003, Miejska Galeria Sztuki
- Międzynarodowy Dzień Teatru, Teatr im. A. Mickiewicza

90 LAT ANDRZEJA
KALININA

Rozwieszono w Alejach banery informujące o wrześniowym jubileuszu 90 lat naszego prozaika mogły wprowadzić w błąd niezorientowanego przechodnia. Okazało się, że na 90 lat składają się 70. urodziny i 20-lecie pracy twórczej pana Andrzeja. Obchodzona z wielką pompą w gmachu filharmonii uroczystość była też okazją do zaprezentowania dwóch nowych książek Kalinina: *A życie jak rzeka* (zbiór reportaży, opowieści i felietonów z lat 1994 – 2003), i drugiej: *Ratuszowy Salon Wielkich Częstochowian* (album podsumowujący towarzyskie i artystyczne wydarzenia z salonu ostatnich lat). Obie pozycje wydał „Dom Książki”.

KONGRES
CZĘSTOCHOWIAN

We wrześniu ub. r. zorganizowano także I Światowy Kongres Częstochowian. Dwudniowa impreza odbywała się w zamkniętym vipowskim gronie. Po uroczystym koncercie w filharmonii, zwiedzeniu Jasnej Góry i mszy uczestnicy udali się na spotkanie integracyjne do hotelu „Ostaniec” w Podlesicach.

NA CD

W branży fonograficznej pojawiły się cztery nowe płytki. *Mniam! Mniam! Rege Habakuka* (nowe wersje starych przebojów), singiel Natanaela *Natanael Rock & Reggae* – zapowiadający dużą płytę wiosną przyszłego roku, oraz *Z kartką czarny atrament* Krzysztofa Dryndy. Drynda – laureat telewizyjnej „Szansy na sukces” z 2002 r., zaczyna karierę w towarzystwie zespołu „Podkręcenie na decybelach”, prezentującego muzykę pop-rockową. Swoją drugą płytę *Live* wydała też Ars Harmonica w składzie: Piotr Biazik, Piotr Hołłowicz i Jakub Mietła (trio akordeonistów). Nagrania dokonano podczas koncertu w Wiedniu. Zespół występuje od

1997 r., wykonuje utwory klasyczne (Bacha, Vivaldiego), sięga też po folklor. Często koncertuje za granicą, gdzie pomysłowe aranżacje spotkały się z uznaniem m.in. na konkursie w Fürstenfeld w Austrii.

FOTO GEOGRAPHIC

W wydaniu specjalnym (dwujęzycznym) magazynu „National Geographic”, poświęconym symbolom naszego kraju po dziesięcioleciu przemian, znalazły się fotografie aż trzech częstochowian: Jacentego Dędka, Stanisława Markowskiego i Tomasza Gębusia. O sukcesach Dędka w „Alejach” pisaliśmy już wcześniej (okładka ze zdjęciem Bursztynowej Komnaty), Gębuś pokazuje fotografię górską, a Markowski Kraków i jego okolice. 1/3 materiału w tak renomowanym magazynie to duży sukces fotografii częstochowskiej!



CZĘSTOCHOWA W KADRZE

W jury ubiegłocznego konkursu na amatorski film video „Częstochowa w Kadrze” mieliśmy filmową sławę – Marka Piwowskiego (reżysera m.in. kultowego *Rejsu*). Obok niego zasiedli: J. Mielczarek, T. Piersiak i P. Popko – ubiegłoroczny laureat konkursu, który nieźle sobie radzi z kamerą (kręci już pierwsze filmy i videoclipy dla Vivy). W tym roku jury podkreśliło, iż podniósł się poziom warsztatu filmowego, rozwija się filmowe widzenie i myślenie. Amatorscy twórcy odchodzą od dosłowności, skłaniając się ku uniwersalnym uogólnieniom. Jury przyznało wyróżnienie honorowe Bartoszowi Dwidowskiemu za film *Kapitan Taca*, III nagrodę Michałowi Bajtale (*Mniej więcej*), II nagrodę Rafałowi Kulińskiemu (*Juwenalia 2002*), I nagrodę grupie w składzie: Michał Adamus, Maciej Dyja, Tomasz Nawrot (*Jest super*), a Grand Prix „Kadr 2003” Pawłowi Bartosikowi (*Idi amin dada, Sam nie wiem*).

CZĘSTOCHOWA POLSCIE

W Bibliotece Narodowej w Warszawie pod koniec października ub. r. otwarto wystawę *Dziedzictwo wydawnicze Częstochowy*. Była to pierwsza z zaplanowanych trzech ekspozycji w ramach cyklu „Częstochowa Polsce”. Zaprezentowano na niej nie tylko modlitewniki i święte obrazki, lecz i rozmaite dokumenty (m.in. akt fundacyjny klasztoru z XIV w.), podręczniki języka polskiego, gazety, plakaty, książki, dawne widoki miasta, horoskopy. Zbiory zostały wypożyczone z Biblioteki im. W. Biegańskiego, Archiwum Państwowego i klasztornego Muzeum 600-lecia. Następną wystawą poświęconą będzie sztuce, a trzecia sławnym ludziom z Częstochowy.

DNI KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

25-lecie pontyfikatu Jana Pawła II uczczono w Częstochowie (a także w Radomsku, Wieluniu i w Zawierciu) Dniami Kultury Chrześcijańskiej (17 X – 3 XI 2003). Na cykl imprez odbywających się w wielu placówkach złożyły się m.in. przegląd filmowy *Sacrum w filmie – ku cywilizacji życia* w OKF-ie, koncerty (JM Trio, Armia, New Sound, Ars Harmonica, Lidia Pospieszalska i in.), wieczory poetycko-muzyczne (S. Markowski, Fortepian Chopina), spektakl muzyczny teatru Bez Reszty – *Kohelet, czyli świt dociekany*, wernisaż malarstwa Tomasza Budzyńskiego (OPK Gaude Mater), zaduszki artystyczne w kościele św. Józefa na Rakowie, kwesta na rzecz ratowania częstochowskich nekropolii, promocje książek *Święta z Kalkuty* C. Ryszki i *Dekalog nasz powszedni* K. Woynarowskiej oraz spotkanie z o. Leonem Knabitem. Dni Kultury zamknięto wręczeniem nagród „Anioł Nadziei”.

POETYCKIE SZRANKI

XXVII Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. H. Poświatowskiej w 2003 roku trwał tylko jeden dzień (22 XI), ale wypadł dosyć atrakcyjnie, mimo braku warsztatów poetyckich i spotkań z autorami. Imprezę otwarto w ROK-u recitalem muzyczno-poetyckim Stanisława Markowskiego, który akompaniując sobie na fortepianie, śpiewał teksty własne i znane wiersze polskich poetów. Natomiast przed południem urządzono w teatrze Salon Poezji z udziałem miejscowych aktorów i muzycznie ilustrującego Janusza „Yaniny” Iwańskiego z córką. Jak się okazało, popołudniowy Turniej Jednego Wiersza był jedynym konkursem, w którym częstochowianie zdobyli nagrody. Z 17 startujących czterech otrzymało równorzędne II nagrody: Violetta Grzegorzewska i Teresa Nengo-Tomzik

z Częstochowy oraz Miłosz Kamiński z Jeleniej Góry i Piotr Macierzyński z Łodzi. Być może pomogło częstochowskie jury... Wieczorem w teatrze rozstrzygnięto konkurs główny i tu nie było tak wesoło. Mimo nadesłania ponad czterech tysięcy wierszy, jury w składzie: Maciej Cisło, Marcin Baran i Leszek Engelking nie przyznało pierwszych nagród, tłumacząc tę decyzję wyrównaniem (a nie niskim) poziomem. W kategorii „debiut” II nagrodę otrzymali Arkadiusz Ściepuro z Wrocławia i Marcin Jędrzyak z Krakowa, a w kategorii „po debiucie” II nagrodę dostali Robert Król z Jasła i nagradzany kilka godzin wcześniej Piotr Macierzyński z Łodzi. III nagroda przypadła Krzysztofowi Kowalewskiemu z Olsztyna i Grzegorzowi Giedryśowi z Torunia, wyróżnienia zaś Piotrowi Kuśmirkowi z Białegostoku i także tego dnia honorowanemu Miłoszowi Kamińskiemu z Jeleniej Góry. Warto zauważyć, że Piotr Macierzyński już w tym konkursie wygrał (startuje od dziesięciu lat). Jest bezrobotnym utrzymującym się z... wygrywania turniejów poetyckich. Na zakończenie wystąpił ukraiński „Teatr Woskriesiennia” ze Lwowa w spektaklu według sztuki Karola Wojtyły *Hiob*.

DESZCZ WYDAWNICZY

Rok 2003 obfitował w liczne publikacje książkowe, których nie byliśmy w stanie (z braku miejsca) obszerniej opisać. Z kronikarskiego obowiązku wymieniamy je, bo być może jeszcze do nich wrócimy.

Olga Bąkowska, *Pisane szeptem* – poezje uczestniczki klubu poetyckiego „Złota Jesień”

Tomasz Gładysz, *Miniatury prozatorskie w układzie alfabetycznym* – krótkie opowiadania studenta Instytutu Plastyki WSP

Rafał Socha, *SPR* – historie ze służby wojskowej nauczyciela TZN

Marta Smoleń, *Imago* – debiut poetycki maturzystki z Rędzin

Małgorzata Nowakowska-Karczewska, *Sekrety Lagriety* – bajka dla

dzieci nauczycielki języka polskiego z ZS im. Norwida

Czesław Ryszka, *Jasnogórska opowieść* – obserwacje z życia zakonników na Jasnej Górze

O. Jan Pach, *Z notatnika pielgrzymy* – zapis z pielgrzymki warszawskiej sprzed 20 lat (w pełnej, nieocenzurowanej wersji)

Anna Makles, *Druga strona* – paropowieść polonistki z Kruszyny

Maria Ogłaza, *Okruchy codzienności* – trzeci tomik wierszy częstochowskiej malarki

Na Jasnej Górze odnalazłem wolną Polskę... i siebie – zapis rozmowy o. Roberta Łukaszuka z kompozytorem Wojciechem Kilem (+CD)

Bartosz Mazur, *Do ludzkich serc* – II tom wierszy niepełnosprawnego poety

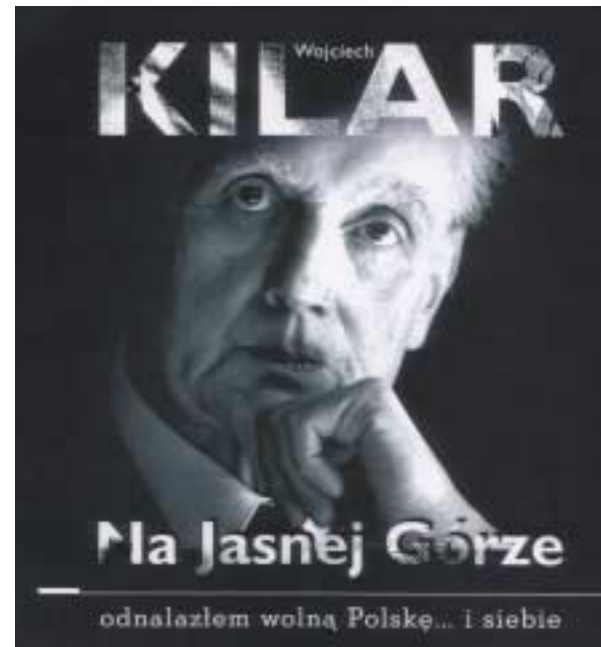
Barbara Kubicka-Czekaj *Szyf w Tartarze* – prozatorskie wariacje na temat mitu.

NAGRODY

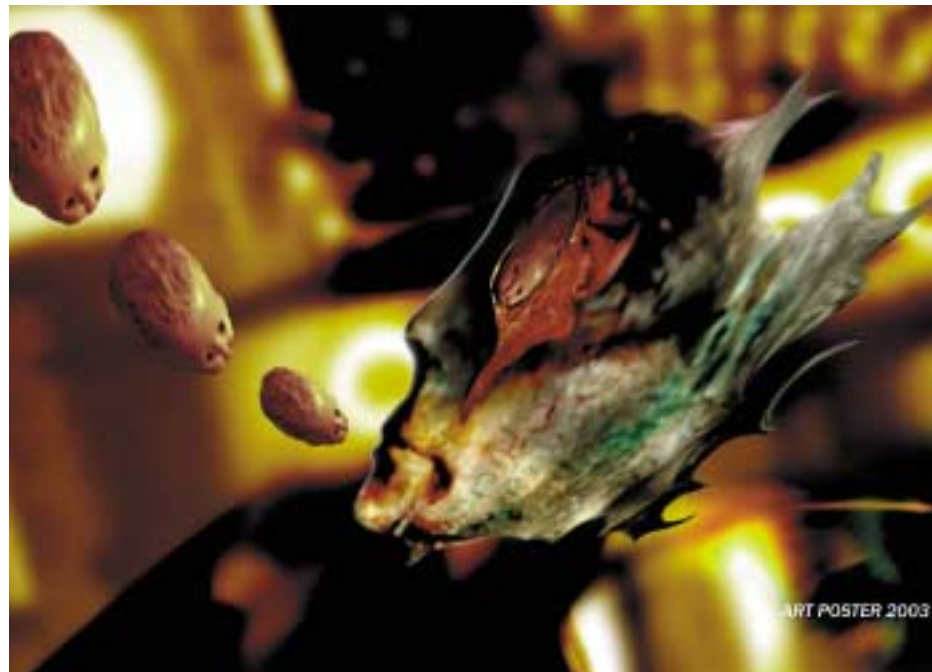
Andrzej Kalinin – Nagroda im. Karola Miarki

Grzegorz Banaszekiewicz – laureat Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie

Stanisław Oset, Ziemowit Domagała, Jarosław Kołodziejczyk, Adam Pytel – wyróżnienie SARP za projekt cmentarza komunalnego w Częstochowie (sb)



Artur Postrzech „Fotografie niektóre”



„Aleje 3” w internecie – www.biblioteka.czyst.pl
Pismo można kupić w placówkach kulturalnych Częstochowy

Jaki był rok literacki 2003?

Zastanówmy się, jak wyglądał ostatni rok literacki w Częstochowie? Namawiam krytyków, literatów i publicystów do zabrania głosu. Podsumowania, ciekawe pomysły i propozycje będą mile widziane. Mogą przyczynić się do rozwoju literatury w naszym mieście.

Nowe zjawiska

Najważniejszym wydarzeniem dla środowiska literackiego w Częstochowie było zorganizowanie przez Bibliotekę Główną „Częstochowskich Dni Książki”. Zdecydowanie pozytywnie oceniam pomysł takiej imprezy kulturalnej. Może ona zintegrować podzielonych, niestety, literatów częstochowskich. Ponadto spotkania i wieczory autorskie są potrzebne dla zjednywania czytelników. Sprzyjają one nowym inicjatywom literackim.

Drugim interesującym przedsięwzięciem okazało się założenie grupy prozaików Blee. O ile pamiętam, w Częstochowie jeszcze nie było takiej formacji literackiej. Grupa działa dość niekonwencjonalnie – od razu zrezygnowała ze współpracy z oficjalnymi instytucjami kulturalnymi. Jej członkowie zbierali się w kawiarniach, gdzie organizowano wieczory autorskie. Spotkania te były przeprowadzane inaczej niż zwykle. Autorzy sami nie prezentowali swoich tekstów. Najpierw organizowali recytatorskie castingi i wyfali pod czas nich amatorów, którzy później prezentowali ich utwory.

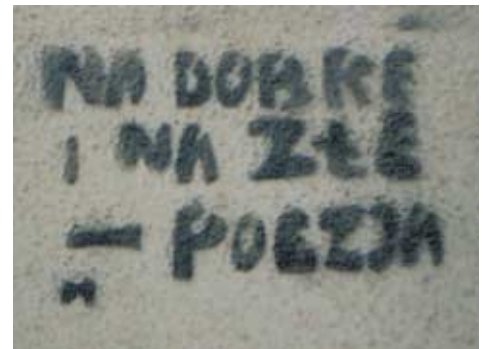
Pojawiły się też nowe numery magazynów literackich: „Galeria” (kontynuacja pisma sprzed lat, redagowanego przez Władysława Piekarskiego) i „Bulion” (patrz artykuł W. Gaińskiego *Kuchnia państwa Grzegorzewskich* w „Gazecie Częstochowskiej”). Wiele publikacji i wywiadów z młodymi literatami ukazało się też w dodatku do „Życia Częstochowy” – „Życiu Młodych”.



To co dobre...

Istotnym przedsięwzięciem dla rozwoju młodego środowiska twórczego była Artystyczna Scena „Błazen” (inicjatywa Tomasza Kmiecika). Jako scena otwarta, umożliwiła konfrontacje, była miejscem spotkań, rozmów i prezentacji. Niestety, bez wsparcia ze strony władz nie mogła długo działać.

Z organizowania spotkań literackich zrezygnował też Szymon Grzegorzewski. Do częstochowskiego OPK „Gaude Mater” na środowiskowe spotkania literackie poeta zapraszał gości z całego kraju (m.in. Jacka Podsiadłę, Agatę Tuszyńską, Macieja Meleckiego, Rafała Siwczyka, Piotra Macierzyńskiego). O zanie-



chaniu przedsięwzięcia zadecydował powód prozaiczny, czyli brak funduszy.

Po trzecie: przestał działać Literacki Klub Meneris. Zrzeszał on młodych poetów i wydał *ciekawe debiuty poetyckie* np. Mateusza Szko-pa *Wiersze najtańsze* i Marcina Jeżyka Janochy *Niecodziennik*. Dobrze się zapowiadał odłam klubu Meneris „Grupa 01”, ale trzeba przyznać, że oprócz jednego wieczoru poetyckiego i kilku napisów na murach na temat poezji („Poezja żyje”) nic ciekawego nie odnotowałam.

Całkowicie stracił też na znaczeniu Turniej Jednego Wiersza organizowany przez CARA. Do jury powoływano ciągle te same osoby z lokalnego środowiska literackiego, przez co werdykty wydawały się uczestnikom stronicze. Dawno też nie ukazała się antologia pokonkursowa, która pozwoliłaby obiektywnie odnieść się do nagrodzonych wierszy, poznać notki debiutantów, ocenić nowe trendy poetyckie.

Pubowe wieczory

W ubiegłym roku nowym zjawiskiem, które odnotował dziennikarz Janusz Pawlikowski w poruszającym artykule *Ginąca kultura* („Życie Częstochowy”), było nasilenie się literackiej działalności „pubowej”. Nowość owa ma swe korzenie na zachodzie Europy i w USA. Orga-

nizowanie imprez literackich w prywatnych lokalach jest formą alternatywną wobec istniejących ośrodków kultury.

Dużą rolę odegrały następujące kluby i kawiarnie: „Utopia” (spektakl *Emigranci* z Michałem Kulą i Adamem Hutyrą, Scena Błazen, koncerty), „Rue de Foche” (koncerty, spotkania literatów: Targowisko Literackie organizowane przez Stowarzyszenie Środowisk Twórczych, wieczory autorskie), „Pani Dulaska” i „Dekadencja” (wieczory autorskie Mateusza Szkopa, Justyny Kowalik, Renaty Zarychty, Marcina Janochy, spotkania i wieczory autorskie grupy Blee), „Puerto Rico” (spotkania Grupy O1). Należą się podziękowania właścicielom tychże lokali za bezinteresowne (choć z tym może różnie bywało) wspieranie działań literackich.

Milczący wykładowcy i studenci

Negatywnie oceniam działania środowisk naukowych w naszym mieście. Studenci nie stworzyli prawie żadnego porządnego pisma literackiego. Pojawia się jedynie CMSA – Częstochowski Magazyn Sportowo-Akademicki, w którym na utwory poetyckie i krótkie felietony literackie (pisane głównie przez Rafała Salamuchę) przeznaczona jest mała kolumna literacka. Przecież mamy kierunek filologii polskiej, na którym na studiach dziennych uczy się zwykle kilkadziesiąt osób. Są też podyplomowe studia dziennikarskie. I co? Kadra naukowa na tychże kierunkach (nie licząc prof. Hurnikowej) też milczy, a przecież w innych miastach (Katowice, Kraków, Łódź) to środowisko naukowe tworzy bazę krytyki literackiej. Na łamach np. „Alej 3” nie przeczytałam o literaturze częstochowskiej chyba żadnego artykułu, który napisałby wykładowca zajmujący się literaturą współczesną. Na jego miejscu na pewno zaproponowałabym prace zaliczeniową o młodej literaturze regionu lub przynajmniej organizowała panele, dyskusje, spotkania autorskie z lokalnymi literatami. I pomyśleć, że w Stanach pracą doktorską może być własny tomik poezji z komentarzem odautorskim, a warsztaty poetyckie na wyższych uczelniach są tam już normą.

Jakie są szanse

Uważam, że szansę na poprawę mogłoby przynieść solidne poparcie (ze strony władz miasta i prywatnych sponsorów, stowarzyszeń kulturalnych, fundacji) istniejących już pism literackich lub stworzenie nowego pisma – koniecznie miesięcznika! Nie ma co ukrywać literaci przede wszystkim muszą publikować. Pi-

sno takie powinno stworzyć przyjazną redakcję w centrum miasta, która byłaby też miejscem spotkań (mogłaby być połączona z jakąś kawiarnią i swoistym archiwum literackim lub pseudomuzeum młodej literatury w Częstochowie). Redakcja zaś powinna się zająć organizowaniem wieczorów autorskich, spotkaniami z twórcami z zewnątrz i przynajmniej raz w roku organizowaniem ważnych i ciekawych imprez literackich (konkurs prozatorski, konkurs na esej o współczesnej literaturze regionu, noc poetów itd., ale nie w jakiejś skostniałej formie!).

W innym przypadku następne lata przyniosą tylko same rozczarowania, a młode talenty literackie będą uciekać z Częstochowy (wiem, że ostatnio wyjechało kilku młodych obiecujących twórców). Mam też propozycję dla narzekających literatów, aby przedstawili swoje propozycje lub oceny raczej na łamach pism, a nie strzępili sobie niepotrzebnie język w kuluarach.

Wioletta Grzegorzewska

Janusz Pawlikowski – ekspert od spraw regionalnych, zapytany o największą wpadkę w częstochowskim życiu kulturalnym w minionym roku, odpowiedział:

„Największym błędem było niedostrzeżenie przez tzw. czynniki oficjalne ruchu klubowego, który przejmując coraz więcej życia kulturalnego na swoje barki. W pubach odbywają się koncerty, wystawy, spotkania poetów, występy kabaretów, nawet teatrów, a nikt u góry tego nie dostrzega, udaje że tego nie ma. Idiotycznym pomysłem było rozważanie zamknięcia lokali w Alejach o godz. 22. Tam wtedy zaczyna się życie, bo w dzień wszyscy są zajęci, pracują, dopiero wieczorem mogą coś robić. Puby prowadzą ożywioną działalność, pomimo braku funduszy, jakimi dysponują oficjalne instytucje kulturalne.”

A największy przebój w 2003?

„Nie było jakichś rewelacyjnych wydarzeń. Sprowadzenie wystawy Beksińskiego do Częstochowy to jeszcze nie sukces. Natomiast pewne nadzieje daje zorganizowanie ekspozycji „Częstochowskie dziedzictwo wydawnicze”, którą pokazano w Bibliotece Narodowej w stolicy. Właśnie takim działaniom można przykleić etykietkę „Made in Częstochowa”, tzn. wymyślono tutaj, wykonano w oparciu o miejscowe zbiory i wypromowano gdzie indziej, reklamując przy okazji nasze miasto. Takie działania są jak najbardziej udane, pożyteczne i pozytywne”.

(sb)



W artykule zamieszczonym w bydgoskim „Akancie” (6(71)/2003) Arkadiusz Frania wyodrębnił nowe zjawisko w poezji częstochowskiej, które określił mianem „poezji w tonacji ptaka”. Zgodnie z symboliką, ptak jest metaforą zasady żeńskiej. We wspomnianym omówieniu autor zauważył, że poetki urodzone w latach siedemdziesiątych mają już na koncie debiutanckie książki poetyckie, wypracowały własny styl artystyczny i są główną siłą uderzeniową pospolitego ruszenia młodych poetek na pozycje zajmowane dotąd przez mężczyzn.

Poniżej prezentujemy nie publikowane dotąd wiersze w „tonacji kobiecej”. Drogi poetyckie tych autorek kierują się wyraźnie w stronę zjawisk, które zwykliśmy zwać lingwizmem. Krytycy częstochowscy mają zatem ciężki orzech do zgryzienia. Czy poezja kobiet zdominuje nasz lokalny świat i zapanują nam „wieszczki”, czy możliwy jest „poetycki matriarchat”? Biorąc pod uwagę konstrukcję psychiczną piszących kobiet, jest to możliwe. Poetki są uparte, bardziej odporne na krytykę niż mężczyźni, rzadko się zniechęcają i szybciej ewoluują. Potrafią sobie zjednywać czytelników chociażby atrakcyjnym zdjęciem w tomiku (żartujcie!). Często atakowane w pierwszym etapie pisania (m.in. za sentymentalizm, ckliwość i banał) szybko zdobywają odporność na krytykę literacką, która w żywocie „homo poeticusa” jest niezbędna. Muszę też dodać, że liryka i związane z nią wyładowywanie emocji pozwala im przetrwać. Rosną nam zatem w siłę poetki i szukają nowych dróg literackiego wyrazu.

A propos, w jakiej tonacji piszą poeci urodzeni w latach siedemdziesiątych? Panowie poeci, drżycie! (wg)

RENATA ZARYCHTA

* * *

do twoich ust jak do domu
gdzie znam każdy kąt
ten prawy
ten lewy
wahająca się huśtawka
między tu
a tu
ogrody Semiramidy
czy coraz bliżej
tak mocno że oddech umiera
tłumione westchnienia
przychylna muzyka
córeczka szczerza
jednej chwili i serca
niesymetryczna
więc niepodzielna
wspólna
taki amulet
wazki
w godzinie stopionego słońca

JUSTYNA KOWALIK

* * *

lampion księżycy
w imadle nocy
oczy pokoju
przesłonięte żaluzją
zlizany dzień
wypluwam
sklejam powieki
namaszczam
twoje dłonie
MORFEUSZU

WIOLETTA GRZEGORZEWSKA

dla Michała Baumanna

Akt z nożem

teraz rozbiorę cię powoli
tak jak preparuje się ptaki
starannie usunę każdą tkankę
rozbiorę cię cicho precyzyjnie
aby usłyszeć płonącą krew

choć ukrywasz się w ciele
najpierw utopię cię w winie
pachnącym polami Prowansji
nakarmię smaczными zdaniem
wygonię wszechwidzący tłum

rozbiorę cię jak genialny malarz
który pociągnięciem pędzla
w chropowatej przestrzeni
wchodzi głęboko pod skórę
w głąb pachnących mięśni

MAŁGORZATA MATERA

Pamela Anderson powiedziała dosyć

powiedziała dosyć
czarodziejskich błysków fleszy
obcisłych kostiumów
stosunków od słowa do wiary
od obrazka do kawałka uda
mokrych stóp
czerwonych dekoltów
i mięsistych powitań
zapagnęła
otworzyć usta
i zaśpiewać umęczoną szminką
melodię złotego kamienia

WIELKA MISTYFIKACJA

Piotra Nalewajko

Podczas studiów jeden z naszych wykładowców opowiadał nam o przyjacielu, który nadesłał mu z Nepalu kartkę z takim oto podpisem: *Bóg umarł, Marks umarł i ja ostatnio czuję się coraz gorzej*. Dzisiaj, kiedy wracam myślami do tamtego wykładu, zastanawiam się, co mógłbym doradzić osobie, której siły życiowe znajdują się na skraju wyczerpania? Chyba najpierw postarałbym się wytłumaczyć takiemu osobnikowi, iż żyjemy przecież w epoce spełniających się marzeń i stąd wszelki smutek jest nie na miejscu. Już przed stu laty Edgar Allan Poe opisywał w opowiadaniu *Człowiek, który się zużył* postać niejakiego Johna A.B.C. Smitha. Jegomość ten był generałem i odznaczał się niezwykłą prezencją, wskutek czego wzbudzał powszechny zachwyt każdego towarzystwa, w jakim się znalazł. Urokowi jego okazałego wyglądu uległ także narrator opowiadania. Jakież było zatem jego zdziwienie, gdy dowiedział się, że wspinały tors generała, jego imponująca (licząca sześć stóp wzrostu) postać, urzekający głos, noga, ręka, a nawet zęby, włosy i oczy są rezultatem wielkiej mistyfikacji, tzn. rezultatem zabiegów i skutkiem tego, iż żyjemy we wspinałym wieku wynalazków, a zatem wszystko jest możliwe (już wtedy tak myślano) i z Kopcuszką do Królowej droga niedaleka, zaś na nasze dolegliwości z pewnością znajdzie się lekarstwo. Jeśli nie teraz, to na pewno kiedyś... w przyszłości... Któż śmiałby w to wątpić? Nawet psychologowie zapewniają, iż człowiek ma naturę transgresyjną – zdolną do przekraczania ograniczeń, zarówno własnych, jak i środowiska zewnętrznego. Mimo to znajdują się złośliwi, którzy stwierdzą, iż Bóg po to dał psychologom taką nadzieję, żeby przedłużyć ich męki, bo aspiracje do wiecznego życia i braku zmęczenia i tak się nie spełnią. Zresztą, czy należałoby – ich zdaniem – życzyć sobie świata, który nie stawia nam żadnego oporu i spełnia wszystkie nasze zachcianki? Czy zatem nasze rojenia o zdolności do samodoskonalenia i nieustannego przekraczania własnych granic, zarówno mentalnych jak i fizycznych, prowadzące do krainy spełnienia, mają rację bytu?

Pojawia się również pytanie o etyczne granice ingerencji naukowców w „naturę ludzką” (klonowanie, inżynieria genetyczna). Wśród naukowców przeważa opinia, iż to, co można zrobić, warto zrobić, czyli etyka nie powinna ograniczać badań naukowych. Odmiennego zdania broni Kościół, a także liczni teologowie i filozofowie, którzy stojąc na straży godności osoby ludzkiej uważają wszelkie próby ingerencji w przyrodzoną naturę człowieka (cokolwiek by to miało znaczyć) za nieuprawnione i mogące przynieść więcej szkody niż pożytku. (Warto poczynić tutaj pewne spostrzeżenie: otóż gdybyśmy bez zastrzeżeń uwierzyli Chrystusowi, nie powinniśmy się lękać chorób zakaźnych, bo – trawstując boskie słowa – nic nieczystego nie może przyjść do człowieka z zewnątrz).

Trzeba przede wszystkim postarać się odpowiedzieć na pytanie: kim jesteśmy? Czy jesteśmy w stanie zdefiniować naturę ludzką? Odpowiedź padała najczęściej z ust filozofów, pisarzy i naukowców. Dla przykładu zacytujmy jednego z najwybitniejszych myślicieli XX wieku – Bertranda Russell'a: *Czy człowiek jest tym, czym wydaje się być astronomowi: maleńką drobiną zanieczyszczonego węgla i wody, bezsilnie pełzającą po małej, nieważnej planecie? Czy raczej tym, kim wydaje się być Hamletowi? Klęska, jaką ponieśli na przestrzeni dziejów różni myśliciele usiłujący zdefiniować w sposób jednoznaczny naturę ludzką, powinna skutecznie wybić nam z głowy wszelkie tego rodzaju zapędy. Mimo to wciąż ponawiane próby odpowiedzi na powyższe pytanie są – moim skromnym zdaniem – o tyle ważne, o ile pozwalają zastanowić się nad cienką linią oddzielającą to, co rodząc się zastajemy jako niezbywalne cechy naszej sytuacji, a naszymi własnymi artefaktami. Heidegger w swoim epokowym dziele *Bycie i czas* charakteryzuje człowieczeństwo poprzez ukazanie napięcia istniejącego między faktycznością a projektem. Chodzi po prostu o to, iż nikt z nas nie prosił się na ten świat, a jeśli już tu się znaleźliśmy to zawsze jako „więźniowie” określonej sytuacji: rodzinnej, społecznej, kulturowej. Nie zawsze nam to odpowiada. Przyznajmy się, chcielibyśmy stać się przyczyną samych siebie, zerwać kajdany zależności od naszego wyglądu, rodziny, kraju, w którym przychodzimy na świat. Chcielibyśmy móc sami o tym wszystkim zdecydować. Dziś, gdy oferta możliwych stylów życia, lansowanych głównie w środkach masowego przekazu, jest tak bogata, tęskno-*

ty te zdają się zyskiwać na sile. Zygmunt Bauman pisze w *Ponowoczesnych losach życia i śmierci* (Odra 4 kwietnia 1997, s. 52-64), iż (żeby ograniczyć się do jednego chociażby wątku) nie godzimy się na zastaną postać cielesną, zaś ciała nasze traktujemy jako produkt estetycznego doskonalenia: *ciało jest zawsze w stanie niezakończenia, szuka dopiero swego właściwego kształtu, może i winno być doskonałe bez wytchnienia i bez końca*. Bauman przytacza wyniki badań przeprowadzonych przez socjologów z Exeter: większość nastolatków w przedziale wiekowym 14-15 lat jest ze swych ciał niezadowolona: *Nie ma górnej granicy dla sprawności cielesnej i atrakcyjności*. Tego rodzaju mentalność powoduje, iż coraz mniej osób jest z siebie zadowolonych. Nie wierzę badaczom opinii społecznej przekonujących mnie, iż około 70% Polaków jest usatysfakcjonowanych swym wyglądem. Moim zdaniem, rzecz ma się wręcz odwrotnie. I dlatego coraz częściej korzystamy ze specyfików tak hojnie oferowanych przez współczesną medycynę. Zmienić się nie do poznania, kształtować się na wzór i podobieństwo – nie, nie Boga, którego nikt przecież nie widział – ale gwiazdy serialu telewizyjnego. Dlaczego nie?

Tak więc żyjemy chwilą obecną korzystając z dobrodziejstw medycyny. Jako monstrualne płody natury (to oczywiście z racji metafizycznych tęsknot, których ostatecznie chyba nigdy się nie pozbędziemy), które nigdzie nie potrafią czuć się jak u siebie w domu, zmierzamy w kierunku... no właśnie, w jakim kierunku zmierzamy? Dzięki zabiegom dermatologicznym, kosmetycznym, chirurgiczno-plastycznym możemy zmienić się nie do poznania. I tak pozbywamy się znamion, pryszczów, plam, brzydkich narośli, tatuaży, upiększamy nosy, powieki, podbródki, uszy, odsysamy zbędne warstwy tłuszczu, nadajemy piersiom jędrność, penisom okazały wygląd. Może w Polsce proces ten nie przybrał jeszcze takich rozmiarów, ale biorąc pod uwagę dotychczasową linię rozwoju i nasilające się tendencje wizualno-globalizacyjne, wolno chyba prorokować, iż przybierze on na sile. Reżim narzucony sobie dla utrzymania sprawności fizycznej (w porządku), gimnastyka (w porządku), ale czy wszystko trzeba zmieniać, czy nie ma czegoś, z czym musimy się po prostu pogodzić? Wydaje się, że nie. A przecież nam, dziedzicom kultury śródziemnomorskiej, nieobca winna być przestroga udzielona przez Greków: za-

chowaj umiar, w przeciwnym wypadku ściągniesz na siebie karę bogów. Ale kto by się bał takiej kary w naszym odmitologizowanym świecie?

Współcześnie dzięki środkom antykoncepcyjnym możemy dokonywać świadomych wyborów, kiedy chcemy urodzić dziecko. Genetyka dała nam możliwości wyboru płci naszego dziecka. Pod wpływem rozwoju technologicznych nauk biomedycznych pojawiła się możliwość pozapłciowej reprodukcji człowieka przez klonowanie. Nasuwa się wniosek, iż te działania, które pierwotnie służyły przeciwdziałaniu chorobom, przemieniły się w swoisty, rządzący się regułami rynkowymi, przemysł i przybrały formę gene-owania stanów cielesnych i rytmów życiowych. Tym oto sposobem ciała nasze powoli, acz nieubłaganie, przemieniają się w maszyny. Coraz częściej docierają do nas informacje o próbach tworzenia nowego człowieka przy wykorzystaniu najnowszych osiągnięć w dziedzinie genetyki, moralści podnoszą larum, ale prawdą jest, że z chwilą pojawienia się nowych możliwości, pozostałe zepchnięte zostają w cień. Zawsze tak było.

Warto przypomnieć kilka podstawowych faktów. Datuje się, iż cząsteczka DNA – będąca nośnikiem informacji genetycznej – powstała około 3,5 miliarda lat temu. Przez pierwsze dwa miliardy lat na skutek mutacji jej zawartość informacyjna zwiększała się z prędkością jednego bita na stulecie, a więc raczej w żółwym tempie, w ciągu ostatnich kilku milionów lat proces ten uległ wyraźnemu przyspieszeniu – do jednego bita rocznie. Według wybitnego fizyka Hawkinga obecnie – dzięki zastosowaniom inżynierii genetycznej – otwiera się przed nami możliwość celowego ingerowania w ewolucję biologiczną i przyspieszanie tego procesu. *O ile na świecie nie zapanuje totalitaryzm, to ktoś, gdzieś, kiedyś – pisze Hawking – zacznie usprawniać gatunek ludzki. Gdy udoskonalonych ludzi zacznie przybywać, pojawią się ogromne problemy natury społecznej i politycznej, chodzi na przykład o wzajemny stosunek osób usprawnionych do osób zwyczajnych*. Czyżby miał zatem sprawdzić się scenariusz koryfeusza czasów ponowoczesnych Nietschego i ludzkość podzieli się na rasę panów i zwyczajnych ludzi? Czy genetyka sprawi, że klonowanie ludzi stanie się codziennością? Czy uda się nam przesunąć górną granicę umieralności i jaki to będzie miało wpływ na losy starców, skoro już dziś ich losem zbytnio się nie interesujemy?

Być może wszystkie te przewidywania i obawy zaliczyć należy do SF, zaś biotechnologie wykorzystujące dorobek genetyki w celu dokonywania zmian żywych organizmów nie posuną się tak daleko. Jednak bez wątpienia będzie możliwe usprawnienie tych cech, których brak daje się nam szczególnie we znaki, tj. zawodnej pamięci, odporności na stres, szybkości uczenia się. Tak więc powoli zaczniemy upodabniać się do bohatera opowiadania E.A. Poe. Całkiem prawdopodobne wydaje się też, iż rozwój biologii molekularnej doprowadzi w dalszej przyszłości do kolejnych podziałów społeczeństwa. Ci, których będzie na to stać będą chcieli mieć inteligentniejsze i sprawniejsze dzieci itd. Nie mamy niestety podstaw, aby wierzyć, iż nauka zostanie wykorzystana w szlachetnym celu i że interes ekonomiczny nie będzie miał ostatniego słowa. Na etykach ciąży zatem obowiązek przeprowadzenia granicy (kurczącej się powoli) między istotą ludzką a jej wytworami. Pierwszym krokiem na tej drodze stało się ingerowanie w prokreację. Zatem konieczne stanie się powtórne zdefiniowanie istoty ludzkiej, trzeba będzie walczyć o prawo do niedoskonałości i przypadku, zastanowić się, jakie cechy można a jakich nie można i nie ma potrzeby zmieniać. W roku 1998 dziewiętnaście krajów europejskich wprowadziło zakaz klonowania ludzi. Czy zakaz ten może się ostać wobec presji nauki i rynku? Czy genetyka przekreśli dotychczasowy kształt medycyny? Czy możliwości rozwoju medycyny mają swoje granice, których nigdy nie uda nam się przekroczyć, czy też jesteśmy świadkami, jak cała ludzkość w przestrzeni i w czasie staje się jedną bezmierną armią galopującą obok każdego z nas, przed i poza każdym z nas w niepowstrzymanej szarży zdolnej przełamać każdy opór, zwalczyć wiele przeszkód, być może samą nawet śmierć? (Bergson).

W oślepiającym blasku naszej wiedzy technicznej szukamy istoty człowieka, szukamy samych siebie. Paradoks tych poszukiwań polega na tym, iż ograniczają się one wyłącznie do sfery materialno-cielesnej, duch zaś pozostaje w stanie uśpienia. Na nic zdadzą się zabiegi kosmetyczne i pielęgnacyjne, jeśli serce pozostanie martwe. Czyż nie tak właśnie nauczał Chrystus: *tam skarb twój, gdzie serce twoje?* Ale jakie serce; prawdziwe, czy sztuczne?

ARTYSTA GRAFIK





Wezwanie

Patryku Londyński Irlandczyku
czy masz jeszcze tę firmę na Hammersmith
szef ma zawsze rację dzwonek u drzwi hallu Trevor
kierowco Londyńskiego minicabu
sympatyczny przystojny czarnoskóry Trevorze
potężny Clivie ciągle podпиты
George'u dalekowschodni świadku Jehowy
Pakistanczyku Muhammada zię
Robertcie czyli Bobie z niedalekiej Polski
jest kurs ale nie wiem dokąd
szukam na planie miasta mapie Europy
mapie mojego serca

Władysław Ratusiński

ze stacji metra
obok sklepików hinduskiej restauracji
jeszcze zakręt w lewo i w prawo
między domkami
z których każdy podobno jest zamkiem
witrażyk nad drzwiami
schody pokój z widokiem na ogród



London
WR

Władysław Ratusiński

Zapiski Amerykańskie

SPOTKANIA Z MALARSTWEM ... W AMERYCE

Ludmiła Marjańska

Rembrandt. W Amsterdamie, Chicago, Waszyngtonie, wszędzie. Rembrandt van Rijn. Ile obrazów wyszło naprawdę z jego ręki, ile powstało pod pędzlem jego uczniów? Ile jest dziełem wspólnym? I czy ma to jakiegokolwiek znaczenie? Czy jeśli geniusz tworzy szkołę, pomniejsza to jego wielkość? Imię Rembrandta żyje, tak jak jego dzieło.

To dzięki niemu żyje też do dzisiaj Heinrich Schutz, o którego istnieniu świat nigdy by się nie dowiedział, gdyby nie jego portret, zawieszony w waszyngtońskiej National Gallery. Ten mieszczanin holenderski patrzy teraz spod szerokiego ronda czarnego kapelusza, unosząc lekko brwi, jakby dziwił się stojącemu przed nim chłopakowi w dżinsach i rozpiętej koszuli. Może ma ochotę go zapytać:

„Czy zapomniałeś o usztywnionej kryzie i białych mankietach? Dlaczego przychodzisz do mnie nieubrany?”

Ale nie kupcy holenderscy, zamożni klienci Rembrandta w strojnych kapeluszach, sztywni i upozowani, robią na mnie największe wrażenie. W Rijks Museum w Amsterdamie jest portret matki, pochylonej nad książką, zapewne nad modlitewnikiem. Jej dłoń, jej zmarszczki, jej czepiec. Kobiety stare i młode. Ich szyje, twarze, włosy, klejnoty, nakrycia głowy. Perły Saskii. Kołnierze haftowane złotem. Blask, matowość, światło.

W waszyngtońskiej galerii odkrywam jeszcze jednego Rembrandta: zabawną dziewczynę z miotłą. Jest pełna wyrazu, ale nie tak przeświecona jak tamta, którą widziałam w Instytucie Sztuki w Chicago. Czy to ta sama modelka? „Dziewczynę w półprzymkniętych drzwiach” jedynie przypisują Rembrandtowi, ale czy to ważne? Światło go zdradza.

Inny Rembrandt w Art Institute w Chicago. Twarz Chrystusa. Patrząc na nią i nagle zdaję

sobie sprawę, że sztuka jest nie tylko przeniesieniem człowieka w nieśmiertelność, ale nieśmiertelnością samą. I czymś więcej: religią, próbą pochwylenia ducha, zatrzymania go w materii. Namacalne istnienia, rzeczy zamknięte w różnorodnym kształcie – i to, co jest pomiędzy, zawieszane, niedotykalne, najważniejsze.

Twarz Chrystusa. Ogarnia mnie taki spokój, jakiego doznaje się chyba tylko tam, na niebieskich pastwiskach. A więc można przewyciężyć ludzką słabość, chorobę, śmierć, można stać się nieśmiertelnym?

To światło. Te półcienie.

Obok mnie przed obrazem Chrystusa stoi garbus. W pierwszym odruchu, pamiętnym chyba z lat nierozsądnej młodości, mam ochotę dotknąć jego garbu. Przesąd mówi, że to podobno przynosi szczęście. Naraz widzę jego twarz: uduchowione oczy wpatrzone w twarz Chrystusa. Zdaję sobie sprawę ze swojej małości, w połowie drogi cofam rękę, pełna skruchy, zawstydzona. Garbus odwraca się, obrzuca mnie nieprzychylnym spojrzeniem. Czyżby odgadł mój zamiar? Podejrzliwy wobec ludzkiej złośliwości, nawykły do samoobrony, odchodząc, z całym rozmysłem mnie potrąca.

Ludzka ułomność, obustronna złośliwość. I cóż, że brzydota miesza się z pięknem, sztuka z tandetą, codzienność z uniesieniem? Materialna postać garbusa niknie w zetknięciu z arcydziełem malarskim, a powraca na ziemię, widząc, że ktoś był świadkiem jego przemiany. Przez moment zachwyty był piękny. Mój ruch go obudził.

Jak wyfuskać ziarno słodkiego groszku z twardego strąka? Czym przebić skorupę orzecha kokosowego, żeby wychłptać orzeźwiający mleko życia? Jak ugasić wieczne pragnienie piękna?

Podziwiam odwagę malarzy. Mnie Rembrandt by paraliżował, nie mogłabym wziąć pędzla do ręki. Na szczęście, inni nie mieli i nie mają takich zahamowań, a ja przecież nie maluję. I choć Rembrandt dla mnie najważniejszy, znajduję w National Gallery jeszcze inne wspaniałości. Jedna to Tycjanowski „Krajobraz z Madonną, Dzieciątkiem i świętym Janem, niosącym owieczkę”, druga zaś, to zachwycający krajobraz pędzla Giorgione: u wejścia do pieczary siedzi stary Józef, Maria wpatruje się w Dzieciątko, leżące na ziemi, obok składają hołd pochyleni pasterze. Przemawia do mnie głęboko to religijne malarstwo, przedstawiające ludzi współczesnych artyście, realistyczne, z troską o gest, szczegół, barwę.

W waszyngtońskiej National Gallery mogłabym zostać aż do odlotu.

A przecież jest tyle innych obrazów, które mnie fascynują. W Chicago czarno-biały „Portret Rabina z Witebska” Marka Chagalla, rozjaśniony jedynie czerwoną plamą warg. Jakże inne doznanie: stałam przed nim bezradna i niešťczęśliwa, zdumiona i ogłuszona pięknem. Dlaczego?

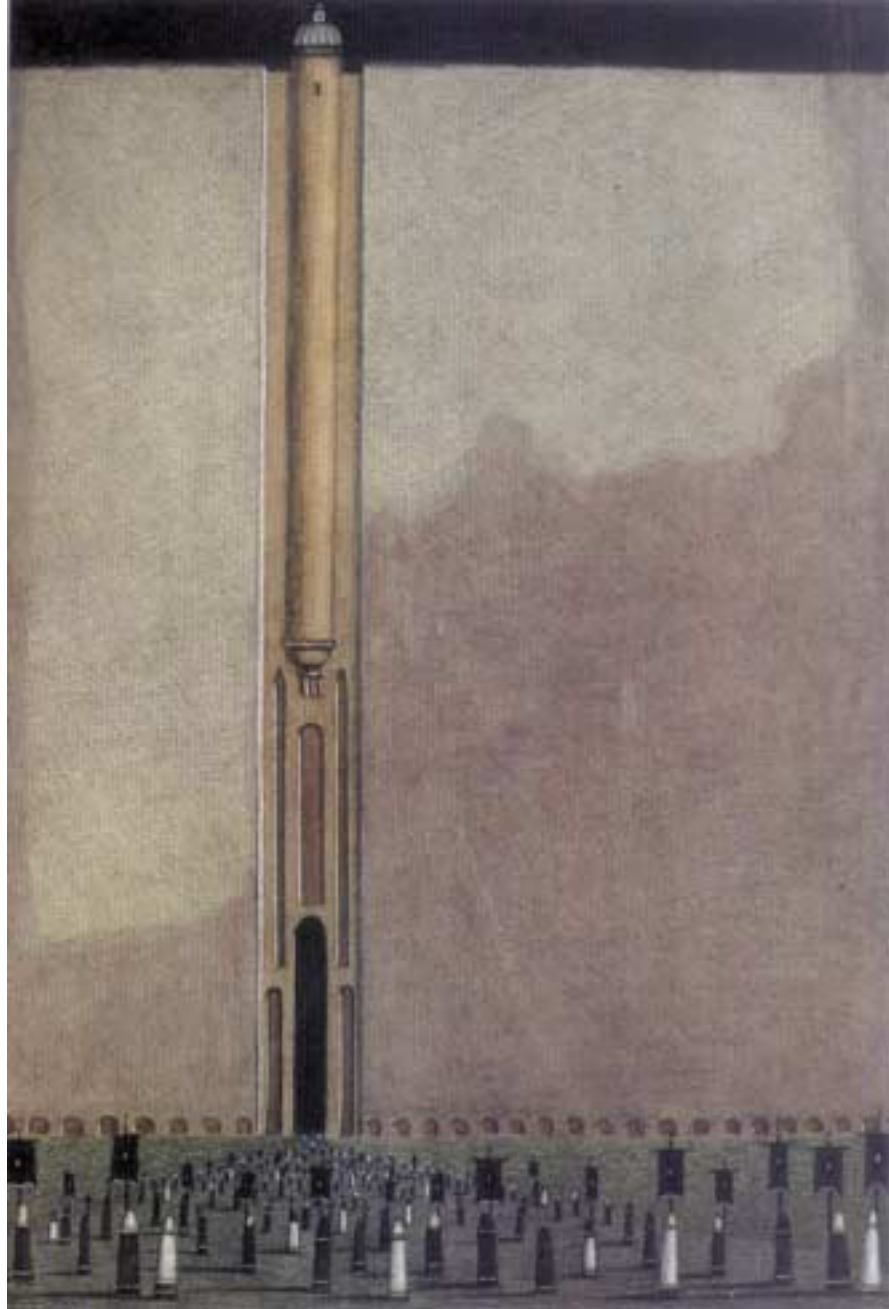
I jeszcze niezwykle, małe Muzeum Fricka w niewielkim pałacyku przy Piątej Alei w Nowym Jorku. Galeria na miarę moich możliwości percepcji (nie jestem w stanie wędrować godzinami po salach muzealnych). Tutaj zaskoczenie polskim motywem słynny „Lisowczyk” pędzla Rembrandta. Skąd tak niezwykle temat?

Nasuwa mi się inne pytanie: dlaczego taki sprzeciw budzi czasem wizja malarska w zetknięciu z rzeczywistością? Pamiętam, jakie rozczarowanie przeżyłam w słynnym u nas rezerwacie cisów, tak wytrwale malowanych przez Leona Wyczółkowskiego. Co on w nich widział? Dlaczego wybrał taki temat? Chude, pokraczne drzewa, które potrzebują setek lat, żeby trochę podrosnąć. Piękne mogą być cisy pojedyncze, pielęgnowane, ale to? Do dziś stoi mi przed oczami ten wilgotny rezerwat, nasza niemal świętość narodowa, której nie wolno ruszyć. Tak, myślałam, zostawmy wszystko w stanie nienaruszonym, niech się wali, gnije, tworzy mierzwę, na której wyrosnie – kiedy? – nowy las.

Czy to widok starych sekwoi w Muir Woods w Kalifornii obudził we mnie to rozżalenie?

Obrazy realistyczne, impresjoniści, surrealiści.

Wszędzie w tej podróży co chwilę natygam się na coś, co mogłoby stać się tematem dla malarza: jakieś niezwykle zestawienie człowieka i budowli, ptaka i kamienia, owocu i szkła.



Henryk Błachnio – „Mur”

Czerwony kardynał na ramie okna. Avocado w pomarszczonej dłoni. W centrum Chicago siwy Murzyn z gazetą, usadowiony pod słynnym dziełem Picassa, brzydką rzeźbą z czerwonego metalu. I tamta kolorowa, uśmiechnięta dziewczyna z głową Nefretete, spotkana w windzie.

Zabawne, łąpię się na skrajnie odmiennym uczuciu, niż to, które ogarnęło mnie wobec paraliżującego talentu Rembrandta: być malarzem, wziąć pędzel do ręki i malować tę cudowną różnorodność ludzi, przyrody, przedmiotów jaką tutaj oglądam.

1987



Panegiryk

WR
London

Ryszardowi Kaczorowskiemu

Prezydent ma wygląd prezydencki
śmieje się z polskiej szopki tylko we właściwych momentach
z godnością, nosi tytuł niby wystużony frak
obywa się bez adiutanta jest przecież żona
wspomina dawne, czasy wojenną odyseję
o częstochowskiej wizycie mówi ze wzruszeniem
i prezydenta wrone chwali pod niebiosa
jedziemy w zachlapanym Londynie jesteśmy prawie sąsiadami
na herbatę ciasteczka nocne rodaków rozmowy

Władysław Ratusiński

Mateusz Szkop
Podmiejskie rendez-vous

Do twarzy nam z tą zimą
do twarzy szaliki postawione w sztorc
z chustami

gadające czapki z kapturami
kłap kłap kłap

nikną dłonie w welonie rękawiczki
milkną oczy oczom tylko zawierzone
proszy

więc wpatrzeni w ziemię butem
odgarniamy słowa mlaskiem
podniebienia topimy się opłatkiem
prostych prawd
mlask mlask mlask

za plecami furtki naszych domów
za domami siedem gór siedem rzek
i las

gdzie śnieg upadający bokiem
jak pokotem kosynierzy tutaj
znaczyć będzie tam więc przytul
mnie przyziem mnie jakbym był
ciężarny z własnym krajem
przecież z zimą bardziej nam
do twarzy

przecież z zimą bliżej nam do nieba

*Wiersz nagrodzony na Turnieju Jednego Wiersza
w klubie „Pod Jaszczurami” w Krakowie 10 XII 2003*



Krystyna Szwejkowska – „Historia Naturalna”, litografia

Szymon Grzegorzewski
partytura na cztery ściany i bufet

na ulicy jest tłoczno zaduch
taki że lepiej skupić się na myśleniu
skrzypienie drzwi odbija się echem
od kaloryfera znudzony kelner
wydyma złowieszczco wargi
drapiąc się po tyłku na końcu sali
stefan mamrocze pacierz wokół stołu

w oknie drgają szyby ażurowe
firany straszą przechodniów
słychać turkot wiejskiej furmanki
bufetowa jak dobra matka przytula
do ciepłego cyca zaprasza na setkę
wychylam jednym haustem
milcząc w każdym języku

przypominam sobie dziadka facet
znał się na rzeczy babcia piekła
wyśmienity placek z jabłkami na piecu
brzęczały fajerki ciotka chodziła
do spowiedzi rozgrzeszyć się z jesieni
kuzynka kołysała swoim pustym tonem
tak bardzo kusifa warkoczami

całowała się bez wymiany śliny nie
wspominając o innych płynach ustrojowych
pamiętam jeszcze czerwone spodenki
za dużą koszulką zakrywała wszystkie piegi
matkę boską od aniołów w piaskownicy i
szklankę kwaśnego mleka wypijaną przed
snem stare kobiety mówiły że to przynosi ulgę

zegar kurczowo trzyma się wskazówek
nie potrafię zacytować z pamięci babci
przyłapuję się na starych dowcipach
dziadka bufetowa nie chce podać kolejnej
setki proponuje małą czarną nad gorącym
kubkiem klecę parę szybkich słów jestem
nagi we wszystkich kierunkach

*Wiersz otrzymał II nagrodę na Targowisku Poetyckim
w klubie „Rue de Foch”
w Częstochowie 11 XII 2003.
Główną nagrodę zdobył Waldemar M. Gaiński
za utwór „Tian’ Anmen”.*

Tadeusz Gieryski

nie bądź głupia
Margot
nie szarp się
przecież i tobie krwawi
mózg
krwawią obrazy
zbryzgane juchą
przekleństw

uspokój się
Margot
popłyniemy jak tylko zechcesz
na zieloną wyspę
otoczoną koroną żółtych zębów
nogi wystawisz do morza
a głowę do moich rąk

nie bój się
papugi tam są też kolorowe
a gdy zapragniesz krwi
otworzę aortę
i popłynie czerwone morze
z mojego przekłętego serca
umrzemy trzymając się za ręce
pod palmą w której śpiewa
żółty wiatr plaży

jeśli mnie jednak zobaczysz
z nożem w zębach
uciekaj wpław przez morze
lepiej spotkać się z ośmiornicą
niż z wariatem na plaży
nie masz wyboru
włożono ci na kark krzyż
ociekający krwią Zbawiciela
to On maluje twoje maki
i powykręcane bólem brzozy

czy nie wiesz o tym
pijana Margot?

ty chodzisz teraz z pastelami w rękach
i z aureolą nad głową
twarze twych świętych ciemne jak piekło

maluj piekło zwykłych ludzi
twarz zrozpaczonej kobiety bo
jej chłop stracił pracę –
twarz matki co się powiesiła
ponieważ głodne dzieci chcą chleba
a chleba nie ma są tylko
długi w sklepiu
uważaj żeby dobrze wyszedł
sznur na szyi
wywalony język
cieknący po nogach mocz

maluj tulipany i storczyki
tym żołądek się nie naje
jeno oczy i nie marksistowska dusza
maluj też twarze państwowych złodziei
i udających aniołów
liderów związków zawodowych
oraz jesusowe pełne dobroci oczy koni
namaluj twarz klauna lecz
bez makijażu szminki i farb

albo twarz niewiasty
która będzie matką
jej spojrzenie ku życiu
jakiego jeszcze nie ma
i twarz mordercy który jutro o świcie
będzie stracony

wreszcie pomysł
o twarzy Boga
co przecież nie ma
ludzkiego oblicza

a kwiaty? zachowaj w staniku
niech nadal czuję
jak pachniesz
wanilią i słodkim potem

w końcu namaluj samą siebie
z rozskrzydlonymi oczami



Andrzej Desperak, bez tytułu

Piotr Nalewajko*Haiku po polsku*

Synkowi tata
pokazał w atlasie szkolnym
mapę świata
synek zapytał
a gdzie nasz kraj
tatuś zmarszczył brwi
synku
bez jaj

*

zrywam się
i dalejże w gówno
szukać ideału
z wiarą
że jeśli ziarno obumrze
wyda owoc
kiedy niekiedy

*

albo albo
w tym teatrze
w tej masakrze świętości
nie ma miejsca
na poważne role
albo Stańczyk
albo aktor na zasiłku

*

credo zatwardziałego socjalisty
wierzę w prostego boga
który zadowoli wszystkich razem
i każdego z osobna he he

*

dobranocka dla dorosłych
jestem sobie duży miś
jestem sobie gruby miś
ssam ja bliźnich nie od dziś

*

Achtung! Achtung! Achtung!
konieczność
wymijającego
zdistansowanego
wyważonego
spojrzenia na rzeczy!
zaangażowane spojrzenie
grozi śmiercią!

Piotr Tarnowski

zróbmy to na podłodze
niech nie słyszą sprężyn
łóżka, ściany takie
cienkie i czuję się winny
gdy inni słyszą jak
dobrze się bawimy
nasze chude kolana
objijają się o siebie
miarowo. wiosna

powiedz mi jakiś banał,
tak bardzo chciałbym
coś zrozumieć,
otrzyj mnie o kicz
swoim życiem, pozwól
się kochać tak zwyczajnie
niech to będzie normalna
historia z happy endem
z codziennością

chroń mnie od
wątpliwości, rozdarć
wielkiej sztuki

niech żyje disco polo

*Romeo i Julia w urzędzie
podatkowym*

spotkali się w
długim ogonku
do okienka...

ona była
dziewczyną
z klasą

on miał
mały interes
i przejawiał
prywatną inicjatywę

połączyła ich
niechęć do podatków
od pierwszego wejrzenia

zaślubiło
krwiopijstwo
fiskusa
– dziś są szczęśliwym małżeństwem
razem wypełniają pity



Tadeusz Gieryski

x x x

Samotność (aż do kości) wierzącego jest mniej bolesna niż samotność mądrego ateisty. Ten ostatni ma Woltera, La Mettrie'go, L. Feuerbacha, Engelsa. Ten pierwszy tylko NADZIEJE.

x x x

Janek nie jest moralistą. On tylko postępuje zgodnie z etyką współczującą. Na to on: „Dopiero teraz to zauważyłeś?” Ja: „Zauważyłem już dawno, ale dopiero dzisiaj o tym głośno powiedziałem”. On: „Jesteś poetą”. Ja: „Wszystkie moje słowa, jakie napisałem, nie są warte jednego, dobrego czynu dla bliźniego”.

x x x

Po raz drugi udało mi się usatysfakcjonować Bartka. Dzięki moim zabiegom ukazał się drugi tomik jego poezji i to w krótkim czasie. Raduję się szczęściem młodego autora i jego Mamy. „Do ludzkich serc” zawiera lepsze wiersze niż poprzedni tomik „Światło i cień”, m.in. jeden piękny erotyk „Do Julii”. Wspaniałe obrazowanie, zwroty poetyckie pełne świeżości pierwszego uczucia. Książka Bartka (ta nowa) powinna się doczekać szczegółowego omówienia nie tylko w prasie lokalnej, lecz także w fachowym piśmie literackim. Zasługuje na to. Sam chory, potrzebujący opieki, mogłem uskrzydlić chorego chłopaka. Poczułem się komuś potrzebny. To największa dla mnie radość. Oczywiście, nie mam wydawnictwa ani drukarni. Bez gołębiego, miłosierdnego serduszka i pomocy pani Haliny Żwirskiej (redaktor naczelny Wydawnictwa „WOM”) najlepsze moje życzenia nie zostałyby zrealizowane.

x x x

W Międzyzdrojach byłem po raz pierwszy w roku 1946. Na wywczasach, tak wtedy mówiono. Ten wypoczynek załatwił nam ojciec w swoim zakładzie pracy. Administracja namawiała wówczas ludzi do tej nowej formy odpoczynku, ale chętnych było niewielu, mimo że taki dwu-trzytygodniowy pobyt nad morzem kosztował grosze. Wtedy pierwszy raz w życiu zobaczyłem morze. Pokochałem i tej pierwszej miłości jestem do dziś wierny. Wolę roziskrzony słońcem nieskończony bezmiar wód niż wszystkie góry świata. Mieszkaliśmy w parterowym budynku tuż nad morzem. Pogodne dni, ludzi na plaży na lekarstwo. Godzinami patrzyłem na wspinające się aż do horyzontu morze. A miasteczko? Cisza, spokój. Przed rokiem przeszedł tędy cyklon wojny i szabrowników. Dwa szeregi ładnych, kolorowych, drewnianych domków, które penetrowaliśmy z bratem, były splądrowane do cna. Połamane meble, przewracane szafy,

etażerki, piernaty, rozprute poduszki, z których pierze zawałało podłogi, potrzaskane lampy, zdeptane maleńkie ogródki. Takiego zniszczenia i upodlenia mieszkań jeszcze nie widziałem. W niektórych mieszkaniach pozostały porąbane fortepiany. Po podłodze walały się książki, listy, albumy ze zdjęciami, bibeloty, potłuczone serwantki itp. drobiazgi. Wiele drobnych przedmiotów było jeszcze użytecznych, np. firanki, story, coś z pobrudzonej pościeli. Ukradłem kilka książeczek poetyckich. Usiadłem na pogruchotanej kanapie z plikiem zdjęć rodzinnych. Jakaś fotografia ślubna, jasnowłose dzieci, uroczysta kolacja przy suto zastawionym stole. Pomyślałem sobie: „idylliczny dom, sielska rodzina”. Z zacięciem oglądałem dalej. Znowu rodzina przy stole, u brzegu fotografii widać było gałązki choinki z cackami. Zanuciłem cicho „Stille Nacht, heilige Nacht, alles...” Ale uderzyło mnie następne zdjęcie. Zrazu nie mogłem zrozumieć, co przedstawia. Zacząłem się wpatrywać w fotos. Wreszcie pojąłem. Na ziemi leżało dwóch skoczków w kombinezonach lotników, połączeni sznurami do czasz białych spadochronów. Po prawej stronie stał żołnierz niemiecki z pistoletem w rękach, ucięty przez obiektyw w połowie. Na ramieniu opartym o widoczny prawy bok widać było V (sierżant).

Zgrzyt, dysonans, przerażenie. Wyobrażałem sobie przyjazne życie w przytulnym, ze smakiem urządzonym domku i w tym rodzinnym gniazdku wśród rodzinnych sielsko-anielskich obrazków fotografia (wszystkie stosiki zdjęć przewiązane kolorowymi wstążkami) przedstawiająca zbrodnię. Czy któryś z członków rodziny przysłał ją z frontu, czy znalazła się tam jakimś przypadkiem? A może miała posłużyć po wojnie jako dokument zbrodni własnego narodu, czy tylko jednej jego części? Nie wiem do dziś. Po przyjeździe do domu fotografię wysłałem do państwowej komisji (jej nazwy już nie pamiętam) gromadzącej dane o hitlerowskich ludobójstwach.

x x x

Depresja. Rodzina moja siostra. Wołam wtedy jak niemiecki poeta: „Mehr Licht!” Kiedyś, kiedyś szeptałem tak do ukochanej – „Jesteś światłem, co rozświetla mój mrok”. To było dawno, nad morzem i w pogodny, słoneczny dzień. Widać już wówczas moja psychika była omroczona. Dziś na domiar ten deszcz. Rozpłaszczone krople spływają po szybach nieśpiesznie, jednak beznadziejnie smutno. Żeby to był gruby, mocny deszcz. Ale jest byle jaki. Jak byle jakie życie w mroku.

Zastąpienie

Pedro Grauso był przez chwilę prezydentem.

Jego rodzina, potomkowie hiszpańskich grabieżców obdarzonych zmysłem do robienia interesów, już od trzystu lat współrządziła krajem, tylko z rzadka będąc zmuszana do drobnych ustępstw, na przykład do wiązania się małżeństwami z indiańskimi rewolucjonistami, ale to nie zabiło rodziny Grauso, to ją tylko wzmocniło. Mieli prawie wszystko. Zawiadywali przemysłem i usługami, administrowali jedną piątą powierzchni kraju, resztę zostawiając innym oligarchom, z którymi też byli związani więzami rozsądnie zmieszanej krwi. Przetrwali rządy faszystowskich i komunistycznych junt, bo przez trzy wieki rodzina Grauso wyznawała zasadę, że nie należy stać w pierwszym szeregu – trzeba delikatnymi pchnięciami ustawiać pierwszy szereg tak, żeby stali w nim ci, którzy nie zepchną rodziny w przepaść.

A jednak Pedro Grauso został w końcu prezydentem, choć długo nikt nie podejrzewał go o takie ambicje. Sukcesy odnosił w innych dziedzinach niż polityka, i to głównie na obczyźnie. W kasynach Atlanty niemal zmarnotrawił owoce pracy kilkunastu pokoleń niewolników Gausów, ale w ostatniej chwili uratował go przypadek. Przeżegnawszy się zabobonnie, postawił na numer 14, który uznał za ostatnią deskę ratunku, bo 14 czerwca przypadało ustanowione w jego ojczyźnie święto państwowe, choć na pamiątkę jakiego wydarzenia – nie pamiętał. Wygrał i zła passa się odwróciła. Wrócił do domu ze znaczną nadwyżką gotówki. Zainwestował ją w poszukiwanie ropy naftowej u kamienistych wybrzeży rodowych posiadłości i okazało się, że te tereny potrafią rodić coś poza kamieniami. Pedro nie miał ochoty rozwijać naftowego biznesu, wolał mniej absorbujące zajęcia, więc za ciężkie pieniądze wydzierżawił roponośne złoża amerykańskiemu koncernowi, co zaowocowało później wsparciem Waszyngtonu podczas jego kampanii wyborczej.

Rodzina Grauso przebudziła się z trzystuletniego letargu. Dostrzegła w swoim gronie kogoś, kogo los ukochał i wskazał, kto w pełni zasługiwał na to, by stanąć w pierwszym szeregu. – Poprowadzi nas – zdecydowali seniorzy rodu. – Pójdziemy za nim, a za nami pójdą inni.

Pedro naprawdę trafił w swój czas, czas telewizji i kolorowych magazynów żywiących się ciałami i życiorysami znanych, bogatych i ładnych. Fotogenicznie szpakowata fryzura, błysz-

czące oczy, mnożąca się fortuna, szanowane nazwisko i szczupła sylwetka tenisisty naturalnie pchały go na błyszczące łamy. Zwłaszcza że natura, zawsze przecież dbająca o to, by stojącym w hierarchii najwyżej, czyli najsilniejszym, nigdy nie działa się krzywda, pchała w jego ręce piękniejsze kobiety z tych samych błyszczących łamów, co z kolei powodowało, że błyszczące łamy jeszcze raz sięgały po Pedra i jego kobiety. Jego życie. Potrafił też mówić o wszystkim bez wahania, tak, że wszyscy wierzyli, że wie więcej niż inni, więc coraz chętniej zapraszano go do telewizyjnych studiów, gdzie komentował sprawy ważne dla wszystkich.

Związał się z umiarkowaną prawicą, bo lewica nie pasowała do jego bogactwa, a skrajna prawica nie chciała Pedra Grauso ze względu na jego zbyt swobodne obyczaje. W czasie kampanii zmiądzzył konkurentów, wspierany przez najlepszych specjalistów od marketingu politycznego, których podesłali amerykańscy fachowcy od dyskretnych spraw zagranicznych. Kiedy tylko przeliczono głosy, Pedro wyszedł na balkon górujący nad największym placem stolicy (budynki go okalające należały w większości do rodziny), żeby pozdrowić wiwatujące tłumy. Dzięki licznym telebimom widział dokładnie podniesione twarze. Pierwsza fala okrzyków zamarła, więc Pedro wziął głęboki oddech, żeby przemówić, ale nie wydał już z siebie głosu. Wielkie ekrany pokazały ten sam obraz – zgromadzeni na placu jednocześnie mrugnęli, nie pokazały natomiast, że w tym samym momencie przymknęli oczy wszyscy mieszkańcy stolicy i kraju. Przypadek nieskończenie mało prawdopodobny, lecz możliwy. Pedro zniknął. Następnego dnia gazety i stacje telewizyjne podejrzewały porwanie, ucieczkę albo zamach, ale myliły się. Pedro Grauso nie mógł istnieć, jeżeli nie spoczywał na nim czyjś wzrok. Jego rodzina zbyt długo opierała swój byt na poczynaniach i opinii innych, zaś sam Pedro doprowadził ten rodzaj egzystencji do pełni.

Ogłoszono nowe wybory. Wygrał je potomek innych oligarchów, też dyskretnie wspierany przez amerykańskie służby. Pedro został szybko wymazany z pamięci nie tylko ludzi, ale i przedmiotów. Wszystkie nagrania z jego udziałem nagle zapłonęły fosforyzującą czernią, filmy fotograficzne prześwieślały się, a archiwalne numery magazynów o błyszczących łamach samoczynnie rozpadły się na kawałki.

Nie przez przypadek został bez reszty i bez trudu zastąpiony.

Aleksander Wierny

CIĘŻKIE ŻYCIE HEROSA

Maksymilian, cóż za imię! W domu i w pracy wołają na niego Maks, Maksiu. Skromny chłopak o blond płowej grzywce i twarzy aniołka. Gdy ktoś o nim dobrze się wypowiada, na policzki wyływają mu ciemne rumieńce. Zawsze w koszuli w kratkę i przykrótkich spodniach. Trochę przypomina wychowanka sierocińca. I do tego te chińskie tenisówki!

Choć Maksia wszyscy lubią, jednak jeszcze nie ma sympatii. Z jego nieśmiałością do kobiet to trudna sprawa. Niechęć do używek też nie zjednuje mu przyjaciół. Chowany przez babcię, jest trochę skryty i staromodny, ale na pewno w jego sercu jest wiele szlachetnych uczuć. Tylko tak ciężko pokazać je światu.

Maks znalazł zatrudnienie w sklepie „Ładny Dom” jako pomocnik subiekta (to taki chłopak do podawania puszki farby z górnej półki albo rolki kwiecistej tapety spod sufitu). Zawsze doradzi rodzaj pędzla, poda chemiczną zawartość kleju czy wytłumaczy, ile co schnie, jaka emalia lub nitro. Jeśli Maks poleciał, to na pewno będzie dobrze! Biega w białym fartuchu po niedużym sklepie, dla efektu zakłada na nos srebrne okulary. Zawsze to uczeniej i wiarygodniej z twarzy bije pozorami. Czasem właścicielka żartobliwie go pogoniła do jakiejś roboty w magazynie, bo klientki tylko z nim chciały rozmawiać i od niego kupować. W magazynku miał radio tranzystorowe, w którym mówiono, co na świecie się dzieje, gdzie bomba wybuchła, gdzie samolot spadł, gdzie porywacze przetrzymują zakładników. Dużo ciekawych historii wyskakiwało z małego plastikowego pudełka.

Razu pewnego spiker podał w nadzwyczajnych wiadomościach (przerwali nawet prognozę pogody), że marsjańscy porywacze w zmowie z talibami i Al-Kaidą uprowadzili na orbitę okołozemską Bazylikę św. Piotra z Rzymu i zamierzają ją ukryć w odległej galaktyce. Porywacze postawili twarde warunki zwrotu świętej budowli: cała Ameryka i Europa musi przyjąć wiarę islamską. Politycy oczywiście odrzucili żądania i szykują już bombę atomową do zestrzelenia innowierców i antychrystów. Ale co z bazyliką? Gdzie nasz papież będzie msze odprawiał? Gdzie będzie Stolica Apostolska? Dokąd wierni będą zmierzać w pielgrzymkach? Przecież wszystkie drogi prowadzą do Rzymu! – zamartwiał się Maksiu w kanciapie, przeżykając

resztki zupki chińskiej. Już widział swoimi wrażliwymi oczami biednego Ojca Świętego załamującego ręce nad kraterem w Watykanie. Widział jego siwy włos, zmartwioną twarz, ręce wzniesione do nieba, wołające pomocy i pokoju. Nie, Maks nie mógł tego tak zostawić. Wybiegł ze sklepu, po drodze zrzucając fartuch i okulary, wpadł do budki z automatem fotograficznym i przebrał się w kombinezon Supermana. Wystrzelił jak rakietą w niebo i poleciał w stronę słonecznej Italii, powiewając czerwoną pelerynką. Mknął przez chmury, mijał samoloty i ptaki, spoglądał w dół na ludzi małych jak mrówki, zadzierających nosy ku górze i krzyczących: „anioł leci!”. A to nie anioł, ino Maks z prędkością odrzutowca spieszył papieżowi na odsiecz. Maks-Superman! Jego druga, skrzętnie ukrywana natura, bohater i heros wszechświata z planety Krypton, wojownik i pogromca monstrów z czeluści kosmosu, pokromiciel wszelakiego zła na tym świecie, dziecię bogów i promieniowania gamma.

Nim godzina minęła, stanął przed Ojcem Karolem i spytał, w którym kierunku polecie-li złoczyńcy.

– Nie lękajcie się Ojczel! Pogonimy psu-bratów nahajką! – obiecywał uśmiechnięty Maks.

– Bywaj z Bogiem – pobłogostawił papież.

Maks-Superman wyleciał na orbitę, ułapił Marsjan i talibów za łby, stuknął nimi porządnie o satelitę chińskiego i rzucił w stratosferę, gdzie pochłonęły ich ognie piekielne. Chwycił mocno za fundamenta bazyliki, chuchnął zaprawą klejową, żeby się nie rozleciała przy lądowaniu i ruszył ku ziemskim padołom. Postawił gmach tam, gdzie stał uprzednio, uśmiechnął się zadowolony ze spełnienia globalnego obowiązku i pofrunął swobodnie z powrotem do pracy. Kolejne niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Przebrał się w toalecie miejskiej i pobiegł do sklepu. Szefowa była wściekła. Groziła, że jak jeszcze raz wyjdzie z pracy bez pozwolenia, to go wyleje na zбитy pysk! Tu klientów kolejka, a on cieka za dziewczuchami po ulicach. Potrąci mu z pensji za te wybryki. Maks do wieczora obiecywał, że się to już więcej nie powtórzy, że po godzinach zostanie, okna jeszcze umyje i masaż ujędrniający piersi jej zrobi. Jakoś ją udobruchał, bo dobrze wiedział, że i jutro może nadejść śmiertelny kataklizm dla całej planety, z którym tylko on może walczyć, i w ogóle tylko on może uratować Ziemię od zła wszelkiego. Amen.

Almanzor

Monika Skrzypczyk

ŻARÓWKA MANIFEST

Żarówka jest zaokrąglona w tym czy innym miejscu i ma w środku pręcik. U dołu ma takie coś, co się wkręca. Jest przezroczysta albo i nie. Bywa różnie. Kiedy się ją do czegoś wkręci i doda do tego prąd, wtedy żarówka świeci i nie możesz jej patrzeć prosto w oczy, bo cię zrazi. Inna sprawa, że ty także możesz się do niej zrazić. Lepiej nie patrzeć. Kiedy wsadzisz ją sobie do ust, podobno nie da się jej wyjąć. Można to sprawdzić, ale trzeba mieć dużo odwagi i izbę przyjąć pod ręką. To tyle o wyglądzie zewnętrznym żarówki. Czy zastanawialiście się jednak nad jej prawdziwą naturą, duchowym wnętrzem? Czy zastanawialiście się, co to znaczy świecić z przerwami, przez całe życie będąc w coś wkręconym? Czy zastanawialiście się, co to znaczy być perfidnie wykorzystywanym przez całe życie jako światłodajka!? Pewnie nawet o tym nie pomyśleliście... Tymczasem żarówki są bardzo dobre i ciepłe: nie strajkują, nie skarżą się, nie chcą urlopu. Tylko niekiedy, gdy mają dość, zrywają pręcik i umierają. Innym razem na skutek głupiego, przypadkowego spięcia giną śmiercią naturalną, ze starości lub z powodu bezlitosnego przeznaczenia. A czy zastanawialiście się kiedyś, co by było, gdyby tak żarówki zechciały podnieść protest, gdyby zgasty wszystkie naraz? Jak czułoby się wasze sumienie, gdybyście na ulicach widzieli plakaty żarówek obwieszczające o ich smutnym losie, ich desperackie hasła domagające się wolności, akceptacji i krzyczące przeciw ludzkiej ciemności względem nieszczęsnych żarówek? Albo – co gorsza – co mogłoby się stać, gdyby żarówki uknuły spisek w celu zniszczenia samolubnej ludzkości? Czy w swej pewnej siebie ślepotce wierzycie, że potrafilibyście powstrzymać zmasowany atak żarówek?! Akurat!

Wobec powyższego apelujemy: począwszy od dzisiaj, przytulajcie swoją żarówkę od czasu do czasu, bądźcie dla niej dobrzy, szepnijcie czasem mite słowo, dodajcie otuchy. Żarówka też człowiek! Kochajcie swoje żarówki!

Krajowe Stowarzyszenie Sympatyków Żarówek

(Wyjątek z *Gazety Codziennej* z 21 grudnia ub. r.)

„Specjalny Komitet Europejski ds. Żarówek ustanowił dzień 13 stycznia Światowym Dniem Żarówki, w którym co roku na całej kuli ziemskiej obchodzić będziemy święto wszystkich żarówek, niezależnie od ich koloru, narodowości i kształtu. W hołdzie każdej żarówce – prezes *Tony Bulb*”

Nocti – vagus

Adam Stężafa

Dziś rano znów obudziłem się z krzykiem w pokoju o krzywych ścianach z żyrandolem wyrastającym z podłogi wbrew wszelkim prawom fizyki. Poczujęm pragnienie krwi. Natychmiast rozdarłem sobie skórę na rękę tępą już żyłką, którą zawsze mam przy sobie. Przyozdobiłem przedramię kolejnym sznitem i przystąpiłem do mojego nieludzkiego śniadania. Jestem dumny z tego, że moje zachowanie zatraciło tyle ludzkich cech. Nienawidzę ludzi. Doprowadzają mnie do pasji, gdyby to było możliwe pozabijałbym ich wszystkich. Denerwuje mnie sama ich fizyczna postać: dwie nogi, dwie ręce, głowa, pionowa postawa. Okropność. A do tego ich niby inteligencja, ich ble i inne objawy tzw. człowieczeństwa. Rzygam nimi. Głosy, które słyszę w nocy utwierdzają mnie w przekonaniu, że nie jestem człowiekiem. Moja żądza krwi jest tego widocznym dowodem. W moich żyłach płynie niekończąca się nienawiść. Ludzie nie wiedzą, w jakim są niebezpieczeństwie mijając mnie na ulicy. Nawet nie zdają sobie sprawy, z jaką łatwością mógłbym ich zamordować w wymyślny sposób. Nie mam duszy. Chyba nigdy jej nie miałem. Jedni rodzą się bez ręki, bez nogi, z sercem po prawej stronie, ja urodziłem się bez duszy. Powiem wam, że tak żyje się łatwiej. Przynajmniej mi się wydaje, że gdybym ją miał byłoby mi zdecydowanie ciężiej. Dzięki temu wrodzonemu defektowi mogę trzymać wasze przeklęte dusze za gardła. Jestem waszym mistrzem, a wy moimi marionetkami. To kolejny powód do dumy, z którą to patrzę codziennie w moje potrzaskane lustro.

Uwielbiam dostojność nocy. Daje mi natchnienie. Tysiące ciekawskich oczu gwiazd spogląda na mnie z kosmicznej widowni, a ja... Ja jestem głównym bohaterem tej przeklętej sztuki, jaką jest istnienie. Z perwersyjną błogością chłonę oddech mrocznego wszechświata. Jego wibracje powodują, że drzę rezonując dreszczami ekstazy. Mam wstręt do słońca. Wypala moje puste wnętrze. Zaśmieca je niepotrzebnymi kolorami. Gdybym wyszedł w dzień na ulicę, zgasłbym pewnie lub rozplynął się w dusznym, rozgrzanym powietrzu. Moja świadomość eksplodowałaby niczym supernowa i zamieniła się w nicłość. A w nocy? Tak, to powietrze, chłodne, rzeźkie pieszczące śmiało moje nozdrza i wypełniające spokojem

moje płuca. Wieczorami snuję się jak złowrogi cień ulicami mojego miasta.

Przyznaję się, jestem... pasożytem. Żeruję na was. Karmię się tym, co najważniejsze: waszymi emocjami i krwią. Sprawiacie mi przyjemność, gdy patrzycie na mnie z obawą, zdumieniem i strachem nie do ukrycia. Kocham wasze obrzydzenie i odwzajemniam je w moim odbiciu w waszych szklistych narządach wzroku. Wywołuję niepokój zbliżając się do was od tyłu lub idąc bezczelnie obok was. Moja agresja wzrasta wraz z waszym zagubieniem i bezradnością. Odzwierciedlam wasze pierwotne instynkty i pogańskie obawy. Jestem koszmarem ludzkości, przerażeniem gwałconej niewinności, bólem rozcinanej skóry, nieszczęściem zbyt młodych, zbawieniem zbyt starych.

Jestem bardzo hojnym Aniołem Śmierci. Wie o tym każdy, kto zatańczy ze mną la danse macabre (czasami sami lecą wprost w me ramiona), jak na przykład dziewczynka, która wczoraj przypadkiem wpadła na mnie na ulicy. Dwaj mężczyźni, którzy próbowali się wtrącić również zostali zaproszeni do zabawy. Cała ich trójka bawiła się, można powiedzieć do upadłego. Wyśmienicie się bawię z policjantami i ich pistolecikami. Wyglądają jak plastikowe żołnierzyki i dostarczają mi wiele atrakcji w postaci szerokiej gamy błazeńskich min. Ten wczorajszy był doprawdy przezabawny. Zrywałem boki, a potem wypruwałem sobie flaki, żeby przestać się śmiać. Boki i flaki oczywiście należały do mojego policjanta-kłowna. Cha, cha. Czasami sam bawię się w policjanta i łąpię kieszonkowców w pociąg. Wnet zamieniam się w sędziego i wymierzam karę – opuszczenie pociągu, podczas jazdy rzecz jasna. A co, będziemy czekać na stacji?

W autobusie miałem nieprzyjemność poznać kolejną obleśną kreaturę. Siedział tyłem do mnie. Jakaż była jego nierozwaga, iż wcisnął się zbyt mocno w oparcie, które ze mną dzielił. Ten zniewieściały facet wtulił się w nie jak nieporadne zwierzątko, a ja poczułem jego ohydny ciężar i ciepło. Musiałem go zabić. Tropiłem go, aż do samego domu. Sąsiedzi dopiero rano znaleźli trupa na schodach. Nie było to już jednak to samo, co ponad dziesięć godzin wcześniej. Mieli czego żałować, bo był to niesamowity widok – żaden malarz nie byłby w stanie oddać tego piękna. Wpatrywałem się z zachwytem w moje dzieło – ruchomy pomnik śmierci – krew spływająca kaskadami, szkarłatny wodospad.

Wracając do domu pełen poczucia piękna i harmonii spotkałem cuchnącego pijacznę,

który starał się wyżebrać ode mnie parę groszy. Był tak wstrętny, że zignorowałem ścierwo, aby nie zakłócać mojej wewnętrznej równowagi. Zacząłem oddalać się od jego widoku i fetoru coraz szybciej, ale z dostojnością, jaka przystoi nobilibis. Ta pokraka jednak złapała mnie za płaszcz! Wystarczyło pół sekundy, błysk ostrza mojego noża i fontanna krwi wytrysnęła z jego tętnic szyjnych. Przynajmniej krew miał dobrą.

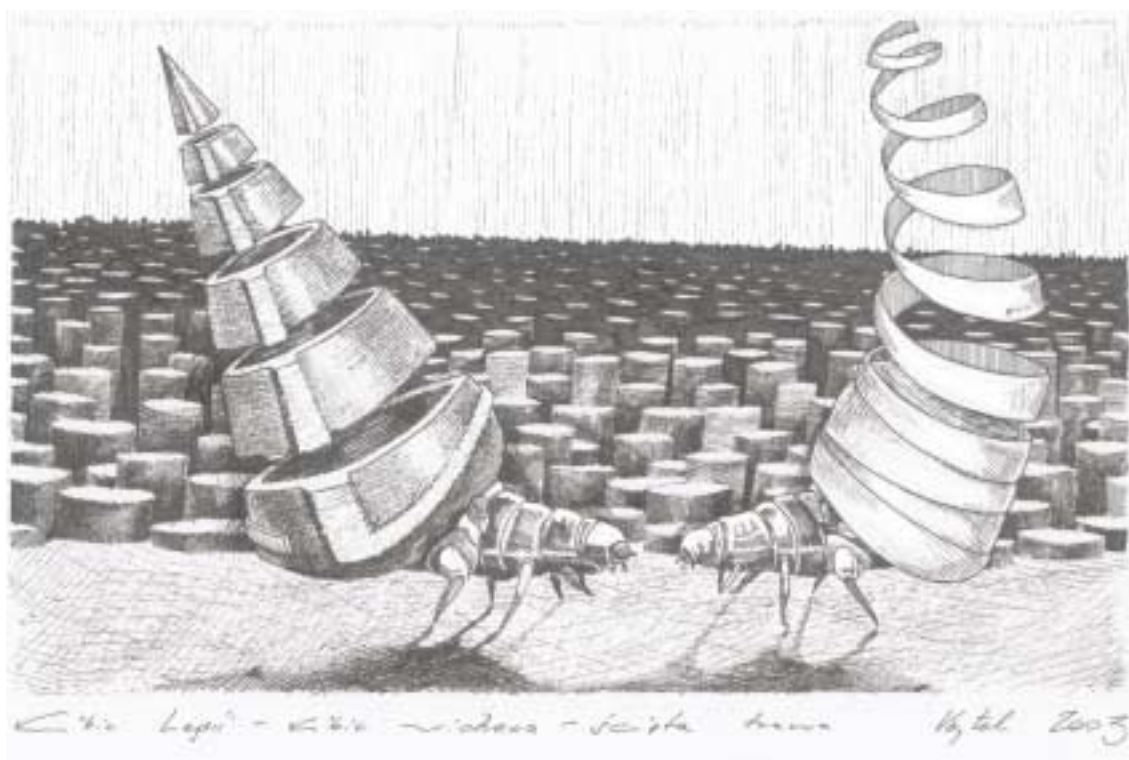
Jedyne, co cenię w ludziach to właśnie krew. Ma wręcz magiczny kolor i wykwintry smak. Jednak ten parszywy ssak wytrącił mnie z nadrzeczywistej równowagi. W takich momentach dostaje amoku, to przecież normalne u artystów o wrażliwych zmysłach. Rujnuję wszystko, co spotykam na drodze. Wszystko razem ze mną tętni gniewem i ogniem, a do tego to cholerne bolesne światło pod czaszką. Zepchnęło mnie w lewo i rzuciło o ziemię. Tam gdzie upadła moja głowa zapłonął krąg. Z trudem podniosłem się, lewą stroną ciała wraz ze skrzydłem trzymały łańcuchy, ale zerwałem się i zacząłem uciekać przed wierceniem w czaszce. Uciekałem aleją, przy której latarnie uliczne wiły się jak węże. Wreszcie poczułem chłód spadających gwiazd, które okazały się jednak być zwykłym deszczem. Gdzieś znowu zniknęły skrzydła, a lampy przy krawężniku stały jak zwykle wyprostowane na baczność, jakby chciały udawać niewinne – ale ja widziałem, jakie z nich bestie. Wtedy zobaczyłem widok, którego nigdy nie zapomnę. To był pierwszy i ostatni człowiek, który naprawdę mnie zaintrygował. Dziewczyna tańcząca samotnie w deszczu. Była czarująca, wyglądała jak szalony upiór-sukub, śmiała się lubieżnie i rzucała mi wyzywające spojrzenia. Zapragnąłem jej. Łatwo dała się namówić na małe rendez vous... Nigdy nie zapomnę bogactwa jej czarnych włosów, mlecznobiałej skóry, krągłości, szalonego języka, temperamentu i wilgoci. Pozwoliłem jej zostać do rana. Była zachwycona miejscem mojego zamieszkania. Nazwała moją norę mieszkaniem prawdziwego artysty-wariata. Niestety, nigdy więcej nie zobaczy już tego

miejsca. Dlaczego odstoniła te zasłony? Czy tak trudno się było domyślić, że nie lubię słońca? Zapoznałem ją z moją sztuką, wręcz przeszyła ją na wskroś. Byłem bardzo brutalnym artystą. Najbardziej żałowałem jej oczu, dlatego ich nie zamknąłem. Wpatrywałem się w nie bez przerwy, aż do zmroku. Potem pozwoliłem im obejrzeć z bliska dno rzeki, która płynie w centrum. Do dziś słyszę jej głos. W snach wypełnionych gęstą mgłą widzę jej postać tańczącą jak kukiełka. Jej otwarte szeroko duże oczy i dziurawiące umysł dysharmoniczne odgłosy dzwoneczków towarzyszące jej sztucznym krokom.

Na dźwięk dzwonu z odległego klasztoru wychodzę z mojej nory. Oświeśla mnie blask naturalnego jupitera-księżycy. Ten z kolei zalewa się krwią niczym napętniający się dzban. W tym samym czasie wyję złowieszczco wraz z wilkami. *Obfędny krzyk, zmieszany z ujadaniem psa pilnującego pobliską kaplicę, zmącił ciszę nocną.* Wszystko zgodnie ze scenariuszem jeszcze tylko gwóźdź programu, czyli morderstwo. Już niedługo nakarmię mój nóż mięsem i lepka cieczą prosto z żył. Jest bardzo głodny. Czuję, że ta noc przyniesie mi powód do noszenia głowy jeszcze wyżej. Złość już przejmuje kontrolę. Bezszeslestnie biegnę w stronę parku po moją zdobycz rozcinając długimi pazurami korę przydrożnego drzewa. *Krew trysnęła obficie spod jego całkiem ludzkich paznokci.*

Mam nadzieję, że obdarzę dziś wielu z was moją wyjątkową taską. Oczekujcie najgorszego!

rys. Wojciech Kulesza



RYSOPIS

Już od dobrych kilkudziesięciu minut marzę na przystanku, gdy nagle z piskiem opon zahamował koło mnie radiowóz. Wyskoczyło z niego dwóch facetów w mundurach.

– Ręce na maskę! – krzyknął jeden z nich, dźgając mnie lufą w brzuch, podczas gdy drugi sprawnie mnie obmacywał.

– Panowie, to jakaś pomyłka... – próbowałem się ratować, lecz ten, który mnie dźgał, nie dał mi dojść do słowa.

– Cicho! Na komendzie będziesz się, gagatku, tłumaczył!

Wśród ludzi stojących na przystanku zauważyłem poruszenie.

– Matko Boska! – zawołała jedna babina. – Ja to od razu wiedziałam, że to kryminalista! Ten wzrok... A jak się o godzinę spytał... no to mnie ciarki przeszły.

Tłum zaszemrał z aprobatą.

– Nie ma bronii! – zameldował ten, co mnie obmacywał.

– Dokumenty proszę! – powiedział ten, co mnie dźgał.

Dałem. Facet chwilę je przeglądał, po czym zwrócił się do drugiego:

– Słuchaj Stefek, myśmy się chyba pomylili. To jakiś szczeniak.

– Z rysopisem niby się zgadza – mruknął Stefek, – maślany wzrok, okulary, głupia mina...

– Te, Stefek, to na pewno nie ten – ożywił się ten, co mnie dźgał – popatrz na tamtego faceta!

– Faktycznie – Stefek popatrzył i powiedział – no cóż, przepraszamy.

– Życzymy miłego dnia! – zsalutował ten, co mnie dźgał.

Wsiedli do samochodu i odjechali.

– Może pan już opuścić ręce! – krzyknął mi jeszcze przez okno Stefek.

Opuściłem. Ludzie na przystanku na wszelki wypadek odsunęli się ode mnie i stanęli w bezpiecznej odległości.

Za chwilę usłyszałem zza rogu:

– Cicho, gagatku, na komendzie się będziesz tłumaczył!

KONKURENCJA

Na rogu ulicy stał mężczyzna w długim, poplamionym deszczowcu i ponuro lustrował każdego przechodnia. Co parę minut drapał się nerwowo po artystycznie niedogolonej brodzie i trącał z niecierpliwością tabliczkę: „Utalentowany aktor bez pracy. Pomóż!”

Pomagali, ja też pomogłem – no bo nie dość, że aktor, to na dodatek utalentowany. W taki sposób dofinansowałem sztukę.

Parę dni później zobaczyłem aktora znowu. Tym razem ubrany był w usmarowany waciacz, a jego twarz wyrażała kompletne załamanie. Tabliczka, którą trzymał w rękach, głosiła: „Robotnik na zasiłku, ojciec sześciorga dzieci prosi o wsparcie”.

Widać ma dwa zawody – przemknęło mi przez głowę i wzruszyłem się. Sześcioro dzieci – taka chudzina, kto by pomyślał. Wspartem. Tak dofinansowałem klasę pracującą.

Jakiś tydzień później znów ujrzałem robotnika. Ubrany w pstrokate szaty, prezentował własny repertuar muzyczny w rytm trzech chwytów gitarowych. Złakniona rozrywki publika uliczna obficie dotowała śpiewaka. Też dałem.

Traf chciał, że parę godzin później mijałem znajomego barda, który trzymał tabliczkę z innym już napisem: „Nauczyciel zwolniony ze szkoły za poglądy polityczne”.

Zamyśliłem się. Następnego dnia, zamiast planowo pójść do budy, przywdziałem kolorową koszulkę, pożyczyłem gitarę i zainstalowałem się tam, gdzie zwykle stał znajomy aktor.

Na chodniku ustawiłem tekturkę z następującą wiadomością: „Utalentowany, uczeń, ojciec sześciorga dzieci, zwolniony ze szkoły za poglądy polityczne”.

Aktor, robotnik i nauczyciel w jednej osobie, gdy przyszedł, stanął jak wryty. Chwilę dumiał, smutnie zwiesiwszy głowę. Odszedł. Wrócił z kartką przypiętą na piersi: „Biznesmen wygryziony przez konkurencję błaga o litość”.

Radosław Purski

RIBKA

Sonia Borowik

Opowieść gotycka

Obudziło go dziwne stukanie, otworzył oczy i spostrzegł przed sobą, dziwnie ubraną kobietę w szarej długiej sukni i czarnej haftowanej bluzce. W ręku trzymała małą buteleczkę i stukła w nią długim paznokciem tak, że płyn z flakonika kapnął do filiżanki z herbatą. Gdy skończyła, podała filiżankę leżącemu.

– Proszę.

– Co to jest?

– Wypij. To ci pomoże.

– Mhm. – odpowiedział i wypił jej zawartość.

– To jest gorzkiel! – wypluł wszystko z ust i się wykrzywił.

– Nie powiedziałam, że to będzie dobre.

Po wypowiedzeniu tych słów starszka spokojnie się uśmiechnęła.

– Gdzie ja jestem?

– Spałeś prawie trzy dni. Mój syn cię odnalazł. Byłeś posiniaczony i miałeś porozrywane ubranie. Zazwyczaj nie gościmy obcych, ponieważ kręci się tu wielu podejrzanych typów, ale widać było, że ty jednak potrzebujesz specjalnej opieki.

– Nic nie pamiętam, co mi się przydarzyło. Nawet nie wiem, jak się nazywam.

– Połóż się. Jesteś jeszcze osłabiony. Jutro porozmawiamy.

Starszka poprawiła mu poduszkę i poszła do izby obok, zamykając za sobą drzwi. Krzątała się jeszcze przez parę chwil po mieszkaniu, aż cały dom zapadł w sen. Cisza opanowała każdy kąt, tylko na strychu słychać było pojękiwania kotów.

Nazajutrz rano kobieta przyniosła mu śniadanie, położyła tacę i delikatnie szturchnęła śpiącego.

– Wstań i zjedz coś, bo dawno niczego nie miałeś w ustach.

– Oh, już wstaję. W żołądku mi burczy, bardzo pani dziękuję.

– Nie mów do mnie „pani”. Na imię mam Chryzantelia.

– Niestety, nie przedstawię się. Dalej nie pamiętam swojej tożsamości.

– Zjedz śniadanie. Ja muszę wyjść. Będę za trzy kwadranse.

Starszka zarzuciła na siebie czarny szal i wyszła.

– Dziwna kobieta – pomyślał.

Zabrał się za śniadanie. Gdy nasycił swój głód, delikatnie wstał z łóżka i zrobił kilka kroków w stronę drzwi. Pociągnął za klamkę i otworzył je. W pokoju meble były stare, ale zadbane. Stół przykryty białym obrusem, a na jego środku wazonik z bukietem nieznanych mu kwiatów. Ruszył dalej, przeszedł do kuchni, która sprawiała podobne wrażenie. Na regale stał niewielki zestaw filiżanek, z których miał już okazję pić. W rogu zauważył kosze z ziołami. Przy oknie, na małym stoliku, na który padało światło, leżały książki, w większości zielniki, niektóre własnej roboty oraz stary i bardzo zniszczony album. Usiadł i zaczął go oglądać. Na zdjęciach mała, może ośmioletnia dziewczynka o jasnych włosach uplecionych w warkoczki siedziała na huśtawce w pełnym kwiatów ogrodzie. Miała smutną minę, a koło niej warował duży czarny pies. Nagle jego rozmyślanie rozproszył dźwięk zamka w drzwiach. Szybko odłożył album i położył się do łóżka.

– Mam nadzieję, że już zjadłeś?

– Tak, dziękuję. Bardzo mi smakowało.

– To dobrze. Możesz już chodzić?

– Chyba tak... – skłamał.

– To może wstaniesz i pokażę ci resztę mieszkania? Uprałam ci ubranie.

– Dziękuję ci Chryzantelio. Gdyby nie ty, to pewnie bym już nie żył. Teraz deszcze, zimne noce...

– Masz szczęście, że akurat mój syn Michot był w lesie i polował.

– Gdzie jest teraz twój syn?

– Pojechał do miasta po zakupy.

– A gdzie ja się właściwie znajduję?

– Jesteś w SAMYM ŚRODKU ODLUDZIA. W skrócie nazywamy go „Odleś”.

– Aha... muszę się koniecznie dowiedzieć, kim jestem, czy mam rodzinę i całą resztę. – machnął szeroko ręką.

– Michot mi mówił, że gdy cię znalazł, mamrotałeś coś, że nazywasz się Van.

– Czyli na imię mam Van.

Chryzantelia wyszła po ubranie. Ubrany wszedł ponownie do kuchni, lecz dopiero teraz zauważył małe schodki prowadzące na strych.

– Ja ugotuję obiad, a ty możesz się trochę przejść. Tylko się nie zgub, bo te okolice są bardzo zdradliwe. Ja sama się kiedyś zgubiłam, a mieszkam tu od momentu, którego już sama nie pamiętam.

– Daleko nie pójde, bo i tak się jeszcze sła-bo czuję.

Babuszka podała mu kurtkę i szal. Za drzwiami jego oczom ukazała się polana, a za nią rozległy las, do którego prowadziła wąska dróżka. Podążył w jej stronę. Wolnym krokiem wszedł między drzewa i rozglądał się. Jednak musiał się wrócić, bo dróżka zaczęła się rozchodzić w różnych kierunkach. Gdy wrócił do domu, obiad stał już na stole, a przy nim siedziała Chryzantelia jedząca nieapetycznie wyglądającą zupę.

- Jesteś wreszcie. Jedz.
- Co to jest?
- Zupa.
- Jaka?
- Z cebuli, buraków i skórek ziemniaka.

Nie chcąc denerwować staruszki zaczął konsumować tę mało wykwintną potrawę. Po pierwszym łyku zebrało mu się na wymioty.

* * *

Kolejne dni mijały podobnie, lecz syna Chryzanteli nie poznał. Jednak jednej nocy obudziło go stukanie do drzwi. Chwila ciszy i znów. Nagle drzwi się otworzyły (była straszna burza), jakieś szmery na korytarzu i cicha rozmowa:

- Śpi?
- Tak.
- Nie obudzi się teraz?
- Nie, jeszcze nie doszedł do siebie.
- Jesteś pewna?
- Ostatnim razem się udało to i teraz też się musi udać.
- Jest inteligentny. Może się domyśleć.
- Nic nie pamięta z tamtej nocy.
- To dobrze. Trzymaj go dalej. Idę spać, jestem wyczerpany tą pogonią. Dobranoc matko.
- Dobranoc.

Od tamtej nocy już nigdy to się nie powtórzyło. Wiedział tylko, że był to syn Chryzanteli. Rozmawiali o nim. Coś knuli. Był postawiony w bardzo trudnej sytuacji. Babcia mieszka na odludziu, syn staruszki, którego nigdy na oczy nie widział... Wie o nim tylko z opowiadań babci i z dziwnej nocnej rozmowy. Jednak następny rok minął spokojnie, Chryzantelia gotowała paskudne obiady i znikła na pół dnia, a Van pomagał jej w zasiewach albo w noszeniu drewna z lasu.

Pewnego dnia, gdy staruszka wyszła z domu, postanowił sprawdzić, co kryje się na strychu, z którego co noc dochodzą, koszarne jęki. Podeszedł do drzwiczek, delikatnie chwycił

za klamkę i pchnął, lecz one nawet nie drgnęły. Spróbował jeszcze parę razy, lecz bez skutku. Dał sobie w porę spokój, bo ledwie zszedł ze schodków, usłyszał staruszkę wchodzącą do izby.

- Van, to ty jeszcze w piżamie? Umyj się! Ubierz!
- Dobrze, już dobrze.

Stara zaczęła się robić coraz bardziej marudna. Gdy tylko się przebrał, zaraz wysyłała go po chrust do lasu. Poszedł. Kiedy zapuścił się w bardziej nieznaną zakątki boru, zauważył dużą kupę liści i gałęzi. Zaciekawiony delikatnie ją rozgarniał. W kopcu była zakopana kobieta. Zaczęła się rozkładać, bo straszliwie śmierdziała. Usłyszał za sobą cichutki chichot. Odwrócił się szybko i zobaczył bladą dziewczynę w białej sukni. Ta jednak zaczęła uciekać. Wołał ją, bo była to pierwsza żywa dusza, którą widział od wielu, wielu miesięcy. Zauważył jeszcze, że była bosa. Nazbierał chrustu i powrócił do chaty, lecz nic nie wspomniał o leśnym spotkaniu.

* * *

- Van, podaj mi ten ostry nóż z szuflady.
- Z której?
- Szuflada po lewej od dołu.
- Ah tak...

Otworzył szufladę i wyjął nóż, jednak zahaczył o szmatkę leżącą pod sztućcem. Pod nią leżał kluczyk, bardzo mały, ładny kluczyk. Zasunął szufladę. Nagle ktoś zapukał do drzwi.

- Van! Idź do swojego pokoju!
- Dlaczego?
- Jak do ciebie mówię, to mnie słuchaj!
- Poszedł do pokoju i zostawił drzwi lekko uchylone, by mógł słyszeć rozmowę. Babcia otworzyła drzwi i wpuściła kogoś do wnętrza.
- No jesteś. Myślałam już, że coś ci się stało.
- Zabłądziłem w lesie.
- Zjedz coś.
- Mhm...

Van czekał dość długo, zanim babka przyniosła tamtemu zupę. Przemyślał parę spraw, między innymi to, dlaczego nigdy nie próbował się stąd wydostać. Zauważył również to, że nigdy tu nie jadł mięsa. Babka gotowała jedynie warzywa i owoce. Krowę miała tylko jedną, z której miała mleko. Postanowił jeszcze tej nocy wybrać się na jedną z drózek w lesie.

Gdy zapadł mrok, delikatnie wstał i się ubrał, powoli wyszedł z domu. Zagłębił się w las, szedł powoli i ostrożnie. Las nocą nie

był przyjemny. Gęsty i bardzo ciemny, słysząc tylko szmery i pohukiwania sowy. Nagle zza jednego z drzew wyłonił się jasny, świetlisty koń. Przynajmniej wyglądał na konia. Różniło go to, że miał na środku czoła róg.

– Jednorożec... – wyszeptał.

Zwierzę pobiegło w głąb lasu. Intensywna poświata przez dłuższy czas pozwalała wypatrywać, jak znika w gęstwinie. Gdy tak przyglądał się temu osobliwemu zjawisku, poczuł na szyi czyjś oddech. Zrobiło mu się zimno, po ciele przeszły ciarki. Odwrócił się i zobaczył tą samą dziewczynę, co wtedy. Miała piękne, zielone oczy, a na wardze małą bliznę, jakby od nacięcia. Wiedział skąd ją zna... Ze zdjęcia.

Dziewczyna zaczęła się odsuwać i odchodzić w las.

– Poczekaj!

Jego krzyki nie pomagały, więc postanowił pobiec za nią. Dogonił ją i złapał za rękę, lecz ta syknęła jak oparzona i drapnęła go w policzek. Krew zaczęła się sączyć i kapać po ubraniu. Popatrzyła głęboko w jego oczy i przyssała do rany. Nie mógł jej odciągnąć od skaleczonej skóry.

– Zostaw mnie! Zostaw, słyszysz!

Krzyki nie pomogły. Popchnęła go z taką siłą, że upadł na ziemię. Zaczął uciekać, lecz ona biegła za nim. Zupełnie zbiegł z drogi i zapuścił się w gęstwinę. Tylko raz po raz odwracał się, by sprawdzić czy jest jeszcze za nim. Jednak ona była szybsza, jakby przybywało jej sił. W pewnym momencie na drodze stanął jednorożec. Nie wiedział, co ma zrobić, więc wsiadł na niego. Jednak i ona miała wsparcie, razem z nią biegła sfora psów. Siedziała na największym z nich i wymawiała jakieś nieznanne słowa. Pies był również na zdjęciu...

* * *

– Aaaa...

– No już cicho. Miałeś zły sen.

– Co to było?

– Van, miałeś zły sen, śpij dalej.

– To był tylko sen – pomyślał.

Poszedł do łazienki i przemył twarz. To, co zobaczył w lustrze przeraziło go. Na policzku miał ranę po czterech paznokciach. Dzień minął spokojnie, lecz wieczór już nie był normalny... Położył się do łóżka i rozmyślał o swym koszmarze. Poczł dziwny zapach, bardzo mdlący i słodki. Coś powoli na niego zaczęło wchodzić. Otworzył oczy i zobaczył twarz ślicznotki. Próbował wstać, lecz cały był jakby

z kamienia, nie mógł się ruszyć. Patrzyli sobie prosto w oczy. Jej piękne i zielone, zaczęły nagle się robić czarne i puste. Lizła go po szyi i twarzy. W pewnej chwili jej zęby wtopiły się w jego szyję. Poczł ból pomieszany z rozkoszą. Trwało to jeszcze parę chwil i nagle przysto.

Nie wiedział, co ma zrobić, powiedzieć starszej, czy zachować to dla siebie. Rano, gdy kobieta wyszła, od razu sięgnął po album i przejrzał go uważnie. Zdjęcie dziewczynki jeszcze tam było. Wyjął je i schował do kieszeni. Oglądał dalej. Był tam też mały chłopiec, bawiący się miotłą w tym samym ogrodzie. Postanowił dowiedzieć się, co to za ogród i dzieci. Po przyjeździe Chryzanteli wyjął zdjęcie i zapytał o dziewczynkę.

– Kto to jest?

– To... jest moja wnuczka, a ten chłopczyk to mój syn.

– Gdzie oni teraz są?

– Mój syn chodzi gdzieś po lesie, a moja wnuczka, Ira, zaginęła jak miała 9 lat. Poszła nazbierać kwiatów do swojego ogrodu i już nigdy nie wróciła.

– I nikt nie próbował jej szukać?

– Owszem, próbowano, ale bez skutku.

– A co z jej rodzicami?

– Matka postradała zmysły, a ojciec zmarł jakieś dwa, może trzy lata po zaginięciu Iry.

– A ogród?

– Zarósł gdzieś w lesie. Można poszukać, ale furka zardzewiała pewnie. Nie wiem czy to ma sens, bo las jest zdradliwy.

– Czy w lesie żyją jakieś zwierzęta?

– Raczej tak. W nocy słysząc jakieś jęki. Kiedyś mówili, że las jest nawiedzony i nazwali go Lasem Zaginionych Dusz, które nie dotarły do Boga. Ale ja w takie brednie nie wierzę.

– Czy mogę zatrzymać zdjęcie?

– Tak. Jeżeli bardzo chcesz... I tak nigdy ich nie oglądam.

– Dziękuję.

* * *

Gdyby wywnioskować, że córka Chryzanteli jest tą przepiękną łanią? A gdzie syn? Nigdy nie pokazywał mu się na oczy, a tak w ogóle, to po co on przebywa cały czas w tym lesie? Może czegoś lub kogoś szuka? Może ta kobieta w lesie, którą znalazł pod stertą liści jest córką starszej, czyli matką Iry?

Tyle pytań, a na żadne nie ma odpowiedzi.

– Van, idź do lasu po drewno!

– A co? Już brakło?

– Tak. Muszę na noc napalić w kominku, bo ostatnio noce zrobiły się bardzo mroźne.

– No dobrze, już idę.

Las jak zwykle był martwy. Wszedł trochę mniej pewnie niż zwykle i zaczął zbierać drewno. W pewnym momencie poczuł, że coś na niego kapie. Podniósł się i otarł czoło. Spojrzał w górę. Na jednej z gałęzi na grubym sznurze wisiała kobieta, z oczu kapała jej krew, na ramieniu siedział kruk i skubał jej ciało. Van stał przez chwilę bez ruchu. Nagle kobieta spadła, jakby sznur się urwał, wstała i zaczęła go całować. Nie zdążył nawet zareagować, a wszystko się rozprysło i znalazł się w dużej, ciemnej sali. W rogu siedziała skulona postać, cała w bieli. Gdy podniosła wzrok, zobaczył że źrenice były również białe.

– Szukasz drogi? – wyszeptęła.

– Nie... to znaczy... tak.

– Znajdź królową, ona wskaże ci drogę.

– Gdzie mam jej szukać?

– Znajdziesz. Po tych słowach wypełzła z sali.

* * *

Znów stał w lesie przy drzewie, ale na dębie już nikt nie wisiał. Powrócił do domu i położył się do łóżka, ale bał się zasnąć. Zmęczenie zrobiło swoje. Śniło mu się, że widzi dom staruszki jak się oddala i oddala, a jego trzymają jakieś dłonie i porywają w las, zamykając za sobą starą furtkę. Potem wrzucają go do dołu i zakopują. Obudził się cały mokry.

– Van! Obiad na stole. No już, wstawaj!

– Już, już wstaję.

Cały dzień myślał o dziwnych snach i przygodach w lesie. W nocy znów obudziły go dziwne szmery i jakaś rozmowa.

– I co? Złapałeś ją?

– Nie. Jeszcze nie, ale wiem, że tu była.

– Tak, wiem. U Vana w pokoju. Dobrała się już do niego. Trudno, już nic mu nie pomoże.

– Jak ją złapię, to mu powiemy. Na razie podawaj mu regularnie zioła.

– Tak, wiem... Ale już nie pomagają. Michot?

– Co jeszcze?

– Tylko uważaj na siebie. Nie chcę ciebie stracić jak Miszy.

– Będę uważał. Zresztą w lesie jest jedno-rozec. Ona się go boi. Dobranoc matko.

– Dobranoc.

Po tej rozmowie Michot się ulotnił i już nigdy nie pojawił. Staruszka wychodziła coraz częściej na coraz dłużej. Szukała syna, lecz bez skutku. Pewnego zimnego i ponurego

dnia Van i Chryzantelia siedzieli przy obiedzie, gdy kobieta zaczęła mówić.

– Van, muszę ci o czymś powiedzieć.

– O czym?

– Pamiętasz zdjęcie, o które pytałeś?

– Tak. A co?

– To jest moja wnuczka. Ona jeszcze żyje i nawet ci się parę razy ukazała.

– Wiem.

– Miałam syna i córkę. Niestety, los sprawił, że się w sobie zakochali i z ich związku powstała Riba. Od razu było wiadomo, że dziecko jest opętane. Odkąd moje dzieci popełniły kazirodztwo, nie widywałam się z wnuczką. Moja córka popełniła samobójstwo. Nawet nie wiem kiedy. Wiem tylko, że w starym ogrodzie i zostawiła tam Ribę. Michot przez resztę życia próbował ją odszukać, ale nie mógł odnaleźć furtki od ogrodu. Pewnie już go zabiła. Tobie też już nie pozostało dużo życia, ponieważ cię ugryzła. Podaję ci zioła, lecz już nie pomagają. Przykro mi Van...

– Tak... To tłumaczy wszystkie te sny i obrazy...

Po tej rozmowie Van postanowił odnaleźć ogród.

– Van, gdzie idziesz?!

– Na spacer.

– Chyba nie do lasu?!

– Hmm...

– Nie idź! Słyszysz Van? Tam jesteś dla niej łatwym celem. Ona cię zabije! Zrobi to bez wahania! Van, proszę, nie chcę cię stracić tak jak moje dzieci! – babina wołała coraz ciszej i ciszej.

Szedł pewnym krokiem, zapuszczał się w las coraz głębiej. Już nie było widać nieba, bo korony drzew wszystko zaślaniały. Tylko jeden promyk padał na małą furtkę. Poszedł w jej kierunku, złapał za klamkę. Drzwiczki otworzyły się ze zgrzytem. Wszedł dalej, na huśtawce siedziała Ribka i coś nucila.

– Van, wiedziałam że przyjdiesz! Jak tam rana? Zagoiła się już?

– Nie – odpowiedział suchym tonem.

– Bolało cię?

– Trochę.

– Hahaha... Musiało boleć! Podeszła i złapała go za rękę.

– Chodź ze mną, coś ci pokażę.

Poszli w głąb ogrodu. Tam wbiła swoje długie i ostre zęby w jego szyję. Piła krew, a on z każdym utraconym mililitrem tracił przytomność. Wreszcie zmarł. Widział starą kobietę stojącą w oknie i wpatrującą się w drogę...

Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz

O nadziei beznadziejny wiersz

nadzieja jaka ona jest
komu i po co kiedy jak
póki żyjemy żyje też
nadzieja jaka ona jest

a gdy się spełnia czemu tżą
butelką wódki wanną krwi
gdy w czterech kątach zimny piec
nadzieja jaka ona jest

i gdzie odchodzi gdy nasz czas
czy wbrew nadziei ciągle trwa
nadzieja jaka ona jest
nadzieja kto ją teraz ma

W olsztyńskim teatrze „Stodola” 18 października ub. r. odbył się benefis Ryszarda „Sidora” Sidorkiewicza. Okazją do wspólnego świętowania było 25-lecie jego pracy twórczej, połączone z promocją nowej, wydanej specjalnie na tę okazję, książki poetyckiej pt. *Światelko*. Wśród zaproszonych twórców znaleźli się: Krzysztof Lampa, który skomponował muzykę i zaśpiewał kilka wierszy jubilata oraz ja, autor poniższego tekstu. Gospodarzem wieczoru był Stanisław Kałkus – szef teatru.

Książka stanowi ewenement pod względem edytorskim, mówiąc slangiem drukarskim – wydrukowana została w kontrze. Na czarnych stronach biały tekst daje wrażenie niebywałej estetyczności. Całość wraz z okładką przyozdabiają grafiki autorstwa Alicji Lampy oraz słowo wstępne pióra Marii Duszki. Powyższe wraz z wierszami utwierdza posiadacza tej pozycji o pełnej harmonii z tytułowym *Światelkiem*. Nakład opiewa na 200 numerowanych egzemplarzy sygnowanych podpisem autora.

Światelko jest mini poematem składającym się z siedmiu części, większość z nich analogicznie rozpoczyna się od słów „skończyć ze sobą”. *Światelko* u Sidorkiewicza jest zapowiedzią nowego, lepszego świata, do którego można dotrzeć przemierzając długi, ciemny tunel, aż do jego wyjścia. Wyczyn ten możliwy jest tylko dla postępujących zgodnie z filozofią autora. Najnowsza książka jest kontynuacją

Wierszy z rymami i bez, obydwie pozycje stanowią nierozzerwalną całość. Powracam pamięcią do cyklu z tytułowym wierszem *Wszystkie imiona zostały za rzeką*, w którym twórca namacalnie odcina się od świata rzeczywistego. Na wszystko spogląda z góry, z pozycji outsidera. Tworzy nowy świat podporządkowany tylko jemu, a wszystkie umowne imiona, identyfikujące go ze starym porządkiem, zostały za rzeką. Dokładnie taką samą postawę reprezentuje poeta w omawianym przeze mnie poemacie pisząc „cicho/najciszej/wytonić się/z mroku/nikogo/nie budzić”, lecz gdy wyrocznia się wypełni, jak guru będzie „JAŚNIEĆ”. Każdy, kto zna wiersze Sidorkiewicza, wie iż świecą one własnym światłem i nie ma to nic wspólnego ze złudnym zjawiskiem fluorescencji, a 5 wierszy składających się na drugi cykl, w którym podążając za sugestią Mieczysława Machnickiego „każdy inny” – właśnie takie są i trudno się z tym nie zgodzić. Taki sposób obrazowania pozwala czytelnikowi przekonać się o profesjonalizmie w pełnym tego słowa znaczeniu. Poeta ucieka od monotematyczności, porusza się np. w świecie nadziei, wprowadzając czytelnika w stan zadumy. Kulminacją wszystkich rozważań jest wiersz *Modlitwa*, w którym czytamy „żeby czasami/czas stanął/i dał odpocząć”. Właśnie takich doznań oczekuję od każdego, kto skusi się do przeczytania tych kilku wierszy.

A ja, zupełnie prywatnie, życzę drogiemu beneficjentowi kolejnych 25 lat oraz by taskawa Muza poezji nigdy nie opuszczała jego domu i była wierna jak bieda, czy przysłowiowy pies.

Rafał „Jeżyk” Kasprzak

fol. Artur Postrzech



NA PRZEKÓR POEZJI

12 grudnia 2003 r., kawiarnia „Dekadencja”. Grupa młodych prozaików pod szyldem „Blee” promuje swoją świeżo wydaną książkę (dofinansowanie CARA). Sala pełna, leje się piwo, a młodzi występują. Przez godzinę produkowali się nie autorzy tekstów, lecz wyłonieni podczas castingu aktorzy-amatorzy. Wieczór przybiera formę kabaretową, jest wesoło. Zapachniało kulturą studencką, która podobno niewiele już robi. A jednak... Książeczki sprzedają po 5 złotych. Kupuję i ja. Kilka opowiadań znam, bo drukowaliśmy je w „Alejach”...



Trzeba przyznać, że *Blee* nie prezentuje wielkiej literatury, a bardziej radośnie szokuje, bawi się konwencjami, mitami, teatrem. Nie są to ambitne formy, ale sprawnie napisane, w większości krótkie. Indywidualności na razie w załączkach, choć można u niektórych dostrzec odrębny styl (Nita). Natomiast z tekstów wyłania się grupa ludzi, którzy podobnie odczuwają, wyznają podobne wartości (lub ich brak) i mają podobne spojrzenie na świat. Jest spójna estetyka przekazu. To już dużo. Co znaczy „blee”? To taki gest językiem, jak na okładce, „[...] często używany na targach, w czasie dziecięcych kłótni i w polskim sejmie. Niekiedy blee traktują też jako oznakę zachwiania zdrowia psychicznego lub po prostu niemądrych wygłupów [...]”. Nie ma sensu dorabiać ideologii grupie, która żartobliwie podchodzi do swojego samookreślenia... Ich wspólnym mianownikiem jest wisielczy humor, turpizm (*Zerwanie*), żart środowiskowy (*Czat, Żulasicc Park*) oraz nihilizm zalatujący czasami... nekromancją (*Nocti – vagus*). To ostatnie trochę mnie niepokoi, bo upajanie się zdaniami typu: „Krew trysnęła obficie spod jego całkiem ludzkich paznokci” jest po prostu niesmaczne i kiczowate. Ale można to wybaczyć, bo gniew młodości często objawia się w wypisywaniu przeróżnych okropności bez ładu i składu, byle było straszniej i mroczniej. Twórcy tej grupy spotkali się przed rokiem w „Dekadencji”, więc nazwa klubu do czegoś zobowiązuje... Zespół „młodych piór” zmanifestował się głośno i sprawnie. Mam nadzieję, że będzie działał dłużej, że nie będzie sezonową efemerydą. Oni mają świadomość, że będzie im trudniej, ponieważ wybrali nietatwą działkę, jaką jest proza. Niestety, w tym mieście prawie nie ma epickiej tradycji. Świadomie nie chcą być poetami, nie chcą iść na łatwiznę, startując co miesiąc w wyścigu po 100 zł (stąd może ton szyderstwa w ich tekstach). Wolą trochę popracować nad materiałem i szukać swojej furtki w wyeksplloatowanym temacie, jakim jest proza współczesna. Mam nadzieję, że o Grażynie Siedleckiej, Monice Skrzypczyk, Mateuszu Byczkowskim, Piotrze Nicie, Michale Wojciechowskim, Adamie Stężale i Katarzynie Trynkiewicz jeszcze usłyszymy, że rośnie nowe pokolenie zmienników dla Kalinina, Piwowarskiego i Rawinisa.

S. Burszewski

Blee, Oficyna Wyd. „Dekadencja”, Częstochowa 2003

PO CO?

Jesienią ukazał się kolejny już (nie wiem który) tomik poezji Tadeusza Gierymskiego pt. *Piołun*. Sponsorował go i wydał Regionalny Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli „WOM” w Częstochowie. Tomik wydaje mi się niepotrzebny, bo wskazuje na to, że autor cierpi na nadprodukcję, chorobliwy głód drukowania wszystkiego, co napisze, a przecież nie wszystko co spod pióra wyjdzie nadaje się do publikacji. Sam Gierymski słusznie to wyznaje we wstępie: „Redagując kolejne tomiki dokonywałem selekcji, odrzucając teksty słabe, nie warte druku. Takie „odpadki” upychałem w najniższej szufladzie biurka. Z czasem uzbierało się tego co niemiara. Przed pół rokiem chciałem je wyrzucić na śmietnik (...)”. Być może byłoby to najlepsze rozwiązanie. Wiersze może i są „znośne” (jest ich około setki), ale w ostatnich latach pan Tadeusz dał się poznać z innej strony,

tej ambitniejszej i niepotrzebnie obniża loty do tak „przygruntowego” poziomu. Podobnie można powiedzieć o poprzednim tomiku *Tulia – erotyki*. Nie ma już sensu wnikać w strukturę wierszy, ich wady, manieri i momentami staroświeckość. Po kilku stronach nie chce się ich dalej czytać. Natomiast akcentem sympatycznym jest podróż do początków drogi poetyckiej, do lat 40., do skierniewickiego liceum, w którym poeta dzielił się kanapką z późniejszym krytykiem literackim – Henrykiem Berezą. To wtedy powstał pierwszy wiersz pod wpływem zauroczenia koleżanką z handlówki – Danusią. I to jest piękne! Dla tego jednego wiersza warto – być może – wydać cały tomik! Ważny jest słuszny pretekst, a ten jest. Powrót do korzeni, do początku swojego bytu literackiego jest niczym podróż w czasie. Dlatego ten wiersz warto zaprezentować w całości jako pierwszy kamień milowy w życiu pana Tadeusza. I drugi – o poetce, którą pierwszy zauważył i pokazał szerszej publiczności. Wiadomo, o kogo chodzi... (sb)



SPOTKANIE

Rogami ulic suną w dal latarnie,
Sentymentalny wieczór pełen czaru,
Kałuże wody popielate, czarne
I domów ściany – siny marmur.
Twa postać gdzieś przede mną znika.
Z topieli, gęstej, wyczuwalnej
Wypływa ton słodkiej muzyki
Namiętny, prawie namacalny.
Ze sklepów, cukierni i kawiarni,
Ze szpar nieszczelnej okiennicy
Przypływa rozigrany, gwarny,
Namiętny ton pełen muzyki.

Wygaśły dźwięki, ciemne kształty
Tworzą bezbarwną, dziwną próżnię.
Cień jadącego wolno auta
Kontrastem jasnym się wyróżnił,
A potem szarość znów się gmatwa,
Szablon kamienic, ulic cieni,
Wystawy pozbawione światła,
Sarkofag tajemniczych źrenic...

1946–47

NAGROBEK HALINY

bez wietrznych włosów
i oczu zwierzęcia

bez wątlých ramion
i gotyku szyi

bez struny głosu
arytmii oddechu

bez siebie samej

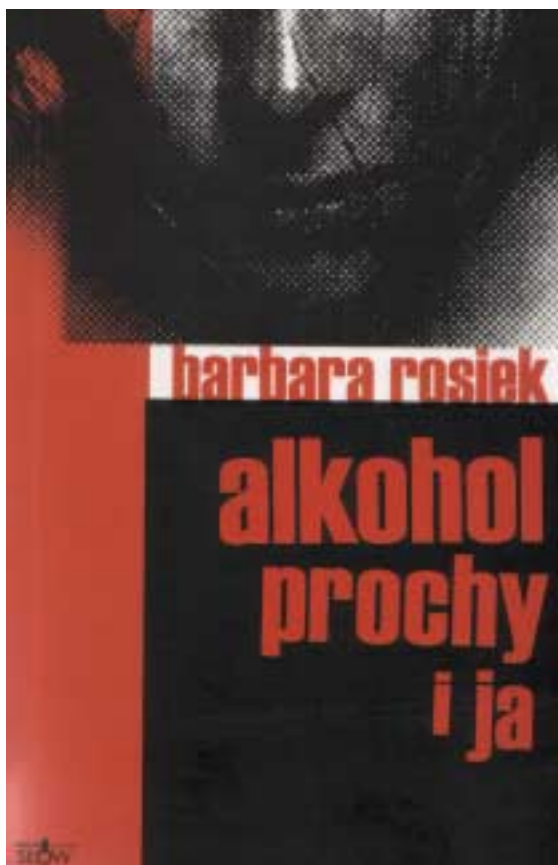
złożona tylko z dwóch wyrazów...
myślisz na czarnej płycie



Tadeusz Kosela, obraz olejny

ZĘ ŚWIATA UŻYWEK

Czwartą książkę Barbary Rosiek brałem do ręki wiedząc, czego się spodziewać. Tytuł *Alkohol, prochy i ja* sugerował, że autorka po przygodach z narkotykami, kokainą i schizofrenią sięgnęła po temat alkoholizmu i lekomanii. Pytanie: co będzie następne? Śmierć kliniczna? Życie pozagrobowe? W swojej podróży do eks-



tremum pani Barbara powoli zbliża się do końca i albo wycofa się całkowicie z pisanie o eksperymentach na swoim organizmie, albo zakończy egzystencję na ołtarzu literatury. Literatury, bo dla niej poświęca zdrowie, życie, karierę, rodzinę, siebie. Nie wiem, czy warto, ale czego nie robi się dla sławy. Wątek niechcianej popularności przewija się nieustannie przez karty książki... Życie nie ma sensu, ale jednak mile techce, gdy wydawcy prestiżowego „Who is who” zapraszają na spotkanie do Londynu...

Alkohol, prochy i ja to dziennik, który można w skrócie opisać: „zapiłam, zaćpałam, zarzu-

ciłam procha, wpadłam w delirkę, powiesiłam się nie do końca, odwieźli mnie na psychiatryk”. Większość przygód kończy się w klinice dra Marka Sternalskiego, który jest muzą i aniołem stróżem autorki, kontroluje jej odlot. On też broni ją przed pomysłami Ogoniastego – postaci zamieszkującej jej zmęczoną głowę. Na końcu autorka trzeźwieje, przechodzi kurację odwykową, poruszona śmiercią twórcy Monaru – Marka Kotańskiego. Balansuje na granicy omamów, śmierci, wspomnień i spotkań z czytelnikami. Popularność wyraźnie jej imponuje, wyrasta jakby ponad „kołtuńskie” miasto, gdzie nikt jej nie rozumie, a dawny psycholog zamienia się w poetę przekłętą. B. Rosiek wydała już kilkanaście tomików wierszy i wyraźnie stawia się w kolejce z Rimbaudem, Verlaine’em i Baudelaire’em. Przypominam sobie, jak pani Barbara zagląda niekiedy do księgarń i krzyczy, gdzie są jej książki (które „sprzedają się jak dziwki”), kiedy dogląda interesu, na który przecież ciężko pracuje wątrową i nerkami, i trochę mnie śmieszy ta cała kokieteria i gwiazdorstwo, fascynacja sobą. Czyżby była na etapie krańcowej Janis Joplin, Jimma Morrisona, Kurta Cobaina i lana Curtisa? Książki o tych muzykach trochę przypominają twórczość Pani Barbary i wpisują się w nurt „literatury dla dołersów”, bardzo popularnej wśród młodzieży.

Zastanawiam się, jaki jest cel opisywania swojego upadku. Kiedy ukazał się *Pamiętnik narkomanki*, zalecano go jako straszak dla nastolatków przed sięganiem po narkotyki (dziś to już lektura szkolna). Jednak kolejne książki to dowód odurzenia się obłędem i nałogiem, które na młodych ludzi działają raczej zachęcająco niż odstraszańco. Powstaje nawet pewien schemat życia niedostosowanego cierpiętka, gotowy model do naśladowania. Autorka jako popularyzatorka nałogu sprawdza się dobrze i wiele złego jeszcze może w niedojrzałych umysłach zrobić. Możliwe, że pisanie jest dla niej terapią. Z drugiej strony dobrze, że pokazuje świat, którego na co dzień nie dostrzegamy, bo jest zamknięty za bramami zakładów odwykowych. Możliwe, że autorka będzie się śmiać, czytając tę recenzję, bo przecież krytycy mogą jej już skoczyć (legenda upadłego anioła ma się dobrze), ale tak naprawdę żal mi tej kobiety i jej rodziny, bo na kimś to wszystko się odbija. Jako dawny psycholog, powinna się zajmować głównie sobą. Pani Barbaro – wystarczy. Nie chcemy części drugiej. (sb)

Alkohol, prochy i ja, Pracownia słów, Warszawa 2003

12 XI 2002

Smętek unosi się w powietrzu, a wczesny zmrok umysł mąci. Zaszedłem do kawiarenki, by swą rozpacz istnienia ukoić w gronie znajomych i ducha nowego skrzesać w głębinach jestestwa. Spilim się jak te warchlaki. Heh, ledwie żem do domu trafił. Jeszcze jakiś zboczeniec stąpał za mną przez pół drogi. Hej! Zboczku! Jesteś tam?

4 XII 2002

W południe przyszedł Nikifor. Jak trafił, nie pojmuję, bo nazwiska mojego na domofonie nie uświadczysz. Na stopniach zataczał się tęgo, nim zadzwonił do mych wrót. Zaskoczony wpuściłem parcha, a ten z wdzięczności zwrócił niestrawiony obiad na dywan po pradziadkach. Nie żebym był niegościnnie, lecz w emocji jakiejś wyrzuciłem delikwenta z kłopotami na mroźny dwór. Po dwóch sznapsach, uspokoiwszy się, położyłem się na szezlongu i odpłynąłem w krainę Morfeusza, gdzie w malinowym chruśniaku diabelfki niecznie szeptały...

2 I 2003

Słońce świeciło od rana niczym na radzieckim plakacie propagandowym. Mróz trząsał pod butami jak pękające kostki lodu w szklance pełnej brandy. Nikifor ponownie nawiedził moje progi (tym razem na pewniejszych nogach) z przeprosinami i flaszką „Siwuchy“. Wzruszony tym dżentelmeńskim gestem wziąłem go w ramiona (brudzia wypiwszy) i wyściskałem jak brata rodzzonego. Na co ten Belfegor zrewanżował mi się podszczypywaniem konkubiny mojej. Ja z toalety wracam, a ten ją obściskuje za abażurem. Heh! Jak wytrząsałem go po licach i kopniakiem posłałem na arktyczną poniewierkę, to tylko szalik zafurkotał jak chorągiew na wietrze. Skosztowawszy lampkę bimbrowego pędu, przystąpiłem do wykonywania małżeńskich obowiązków. Z *Lokomotywą* Tuwima na ustach. Heh!

7 II 2003

Rankiem przy filiżance kawy sypanej i dymku papierosa, oddawszy się słodkiej melancholii, wiersz spłodziłem kilkustrofowy z rymem gęstym jak płótno na pokrowce. Okrutnie zadowolony z ujęcia esencji żywota w ramy werbalnej wersyfikacji udałem się do kawiarenki, gdzie przy śledziku i kilku naparstkach „Czystej“ radośnie gaworzyliśmy z niecnotą Nikiforem i kilkoma kompanionami. Heh! Przygodnie spotkane piękne panie pojechały ze mną do domu kontynuować tak przyjemnie nawiązaną znajomość. Po intensywnych baletach, zmorzony wysiłkiem Amora, padłem w pieleszach sypialni. Rankiem wróciła Alicja od krewniaków i niezadowolona z zastanego widoku, rozbiła kryształową popielnicę na mojej poetycz-

kiej głowie, zwieńczonej wieńcem laurowym. Cóż to była za noc! Heh! Warto było umierać za Rzym!

9 II 2003

Drugi dzień mieszkam u Nikifora, czekając aż Alicji minie gniew. Ale nic, tylko spożywamy dzień i noc, noc i dzień! A tu trzeba by jakiś wiersz napisać. O miłości, szczęściu tudzież etcetera. A tu jedna flaszka za drugą na stolik zajeżdża. I rana na głowie słabo się goi... Gniewny, chcąc przerwać przykrą, pijacką libację niegodną poety, estety i arbitera elegantiarum, pizgnąłem Nikiforem (tym chuchrakiem) raz, dwa i trzy o blat, co nam za stolik służył i przeniosłem się w godniejsze miejsce, tj. do kawiarenki. Tam doczekałem śniadania i obiadu. Heh! Za mną tylko spalone wioski i płacz niemowląt, nade mną – wena i polot!

20 II 2003

Nikifor zrobił sobie – szubrawiec! – obdukcję lekarską i, jako poszkodowany, pozwał mnie do sądu, żądając zadośćuczynienia szkód moralnych i duchowych. Dantejska kanalia dom mi splugawiła i jeszcze zapłaty żąda! Heh! Już ja mu!... Napisałem list do gazety tutejszej, w którym wszystko po kolei opisałem, prosiłem o obiektywną ocenę wypadków środowisko kompanów, żeby mi potem rację na sprawie przyznali. Nie kajałem się, o nie... W kawiarence mediatorzy próbowali nas pogodzić, ale jak wytarosiłem bisurmanina za poły prochowca, to na czworakach szukał wyjścia awaryjnego. Heh! Na nic słowa, gdy dusza płonie!

8 III 2003

Sądny to dzień! Niech się zawała Ziemia i Niebiosa i do Piekieł spadną, a Nikifor z nimi na wieczne potępienie! Cóżem ja uczynił? Heh... Na rozprawie słuchając mowy plugawej, zakrapianej heretyckimi kłamstwami, nie zdzierzyłem kalumnii rzuconych pod moim adresem i ponownie w ataku furii heraklesowej sponiewierałem gadzinę przed sędziowskim obliczem. Heh! Dostałem dwa lata. Pokutuję w celi i tu na tej pryczy piszę poemat prześladowanego za przekonania, ofiary spisku i knowań pętających miernot, tj. Nikifora i spółki. Heh! Czyta to kto? Nie widzę wpisów w księdze gości... Jeszcze wrócę na zwycięskich rydwanach w blasku i fanfarach... Za 730 dni... O jutrzeńko wolności... Heh!

Księga gości

15 V 2003

To wszystko nieprawda. Konkubina przyszywała mi guzik do palta, a w moim domu chciał rozpałcić ognisko. Z Ibizy – Nikifor.

S. Burszewski



Wrzask i gniew we mnie, jasnachmura nade mną.

Z Antonim „Ziutem” Gralakiem rozmawia Krystian Piwowarski.

– Ostatni raz w „Alejach rozmawialiśmy” pięć lat temu. Co się wydarzyło w tym czasie w twoim życiu artystycznym?

– Przede wszystkim jestem kimś innym. Na czysto fizycznym poziomie, więc właściwie nie rozmawiasz już z tą samą osobą. W sferze aktywności twórczej też jestem kimś innym. Pięć lat temu komponowałem inną muzykę. Świat był inny i ja miałem inne widzenie świata. Przyszła czas, kiedy zainteresowałem się innymi mediami. Zaczęłem, wraz z grupą przyjaciół, robić filmy. Stworzyliśmy także swój internetowy kanał informacyjny o nazwie *jasnachmura*.

– Co was skłoniło do wykreowania bytu niepodległego, jakim jest *jasnachmura*?

– W którymś momencie uznaliśmy, że trudno jest przebić się przez natłok informacji, przez zgiełk panujący w przestrzeni. Powołaliśmy zatem do życia kanał, w którym możemy prezentować naszą muzykę i obrazy. Równocześnie zrobiliśmy kilka filmów muzycznych, a dokładniej abstrakcyjnych w formie dokumentów na temat własnych projektów muzycznych i plastycznych.

– Wasza przygoda z filmem zaczęła się od „Truskafki”. To dzieło bardzo ożywcze, frapujące, jedyne w swoim rodzaju, a więc wymagające intensywnej pomocy, żeby nie utonąć w chłampie, który sięgnął już naszych gardeł. Pomówmy więc o promocji.

– No cóż. Nie można robić wszystkiego. Produkcja filmu zajęła nam prawie rok. Ta praca wymagała czasu i poznania nowych technik. Nic innego w tym czasie nie robiliśmy. Dziś promocja jest jeszcze trudniejsza. To dziedzina zdecydowanie przerastająca nasze możliwości. Stąd, między innymi, wziął się pomysł stworzenia *jasnejchmury*. „Truskafka” pokazaliśmy w kilku miejscach, przede wszystkim w klubach. Film jest dobrze odbierany w warunkach kameralnych i pomiędzy spotkaniami muzycznymi. Parokrotnie po projekcji dostaliśmy oklaski. Aczkolwiek traktowany jest raczej jako ciekawostka. Jestem znany na rynku przede wszystkim jako muzyk. Tego rodzaju film nie nadaje się na czystą projekcję. Mógłby zanudzić widza. Jest w końcu mocno amatorski. Zresztą był robiony z założeniem, że jesteśmy amatorami, nie

mamy w związku z tym żadnych ograniczeń. Taka radosna, niezależna twórczość.

– O amatorszczyźnie, i to żenującej, mogliśmy porozmawiać przy okazji filmów fabularnych robionych przez beztalencia kończące tzw. filmówkę. Natomiast „Truskafka” były bardzo profesjonalne. Mówię to jako człowiek interesujący się filmem animowanym od połowy lat siedemdziesiątych, a więc posiadający spore odniesienie. Czy wysyłałście „Truskafka” na festiwale filmowe?

– Nie. Tego rodzaju działania wymagają permanentnego siedzenia w Internecie i śledzenia informacji na temat różnych festiwali, a w tym czasie można przecież robić inne projekty. Mam mnóstwo niezrealizowanych pomysłów. Szkoda mi czasu na promowanie tego, co zrobię. Nadmiar aktywności, mojej i przyjaciół, powoduje, że wokół nas panuje chaos. Tak naprawdę nikt z nas nie wie, który projekt ma już ostateczną formę, który jest ważny, którym warto dalej się zajmować.

– Estradowcy mają wielu przyjaciół i legion promotorów. Widziałem ostatnio w tv Staszczuka, tłukł tam gitarą w podłogę studia. Nie miałem pojęcia, że on jest performerem. Także w tv otworzył kram Maleńczuk i wyprzedaje swoje nazwisko w tanim hurcie i tak dalej, i tak dalej. A co z promotorami twórców niezależnych, oryginalnych, ludzi tworzących sztukę, a nie galanterię rozrywkową? Jakby w pejzażu polskiej kultury nie było miejsca dla agentów zajmujących się wartościowymi zjawiskami.

– Rynek kulturalny w Polsce jest młody i nadal brakuje na nim ogniwa łączącego artystę, zależnego czy niezależnego, z odbiorcą. Tym ogniwnem jest agencja wyszukująca ciekawe zjawiska i sprzedająca je różnym instytucjom promującym muzykę, czy sztukę w ogóle. Sądzę, że tak rozumiana agencja pojawi się także i u nas, przecież w świecie takie rozwiązania funkcjonują od lat.

– Obserwuję agencyjne działania w obszarze muzyki hip-hopowej. Co mnie, skądinąd, nie dziwi, łatwo tu odnieść sukces, trzeba tylko uważać, żeby nie wsadzić sobie palców do oczu podczas tych rytualnych gestykulacji.

– Promocja w tym obszarze też nie jest doskonała. Robią ją amatorzy, ludzie zafascynowani tamtą kulturą muzyczną, ale przecież nie profesjonalści. Stąd promocja hip-hopu też jest dość kulawa. Nie mówię tego, żeby komuś dowalić. Tak po prostu jest.

– Twórcy w Polsce znaleźli się w idiotycznej, schizofrenicznej sytuacji. Bo oto nie jest problemem coś stworzyć, sam wiem, redagując „Aleje3”, ile wartościowych, interesujących tekstów prozatorskich i poetyckich pojawia się

w Częstochowie. Ogromnym, niemal kafkowskim problemem staje się ich sprzedanie.

– To prawda. Artyści nie do końca potrafią sprzedać to, co stworzyli. Mają inny rodzaj aktywności. Sprzedawania trzeba się uczyć. Tak samo, jak trzeba się uczyć gry na instrumencie, malowania, pisania. Twórcy zwykle nie interesuje wiedza na temat sprzedawania, dlatego potrzebujemy mecenasa, agencji, która zajmowałaby się tylko tymi sprawami. A na razie kilka istniejących agencji to instytucje komercyjne, poszukujące towaru, który można masowo sprzedać.

– **Mówisz o agencjach związanych z dużymi wytwórniami płytowymi?**

– Tak. To są agencje krążące wokół świata biznesu i polityki, związane z promocją pewnych idei i pewnych polityków. Organizują duże imprezy charytatywne, kulturalne, mają stajnie różnych artystów znanych z mediów i rozdzielają ich do różnych zadań, od bankietów po wielkie widowiska.

– **Kultura polska jest infantylna. Adresowana głównie do młodzieży, musi posługiwać się swoistym antyintelektualnym kodem. W muzyce przybiera to formę albo ospałego brzdąkania w stylu Myslowitz, albo imitacji amerykańskiego popu lub też hip-hopowych popłuczyn po, jak to się mówi w środowisku blockersów „czarnych koleśiach”. Dotyczy to zresztą wszystkich sfer: filmu, teatru, plastyki, literatury. Czy podzielasz tę ocenę?**

– Oczywiście. Wystarczy włączyć telewizor czy otworzyć jakiegokolwiek pismo. Przykład szczególnie jaskrawy – tzw. prasa kobieca. Osobiście nie znam kobiet, które miałyby mentalność sugerowaną przez te pisma. One mocno deformują obraz inteligencji kobiet. Podobnie jest w tv i w innych mediach. Promocją kultury, sztuki zajmują się ludzie, którzy nie posiadają do tego kwalifikacji intelektualnych, ale mają za to bogatych popleczników. Tu, na wschodzie, bo jakby nie patrzeć jesteśmy wschodem, klanowe powiązania mają decydujące znaczenie. Mówię naturalnie o mechanizmach. Nie wierzę, że jesteśmy narodem bardziej ubogim w walory duchowe czy intelektualne od innych. Po prostu nie potrafimy wyłonić spośród siebie ludzi, którzy mogą nam powiedzieć coś ważnego, wartościowego, poprowadzić nas, wskazać właściwy kierunek. Być może nie chcemy ich zauważyć. Z natury jesteśmy po prostu zazdrośni. Znasz anegdotę o Polakach w piekle – nikt nas nie musi pilnować, sami ściągamy siebie w dół.

– **Jesteś muzykiem często grającym poza granicami kraju. Jaką widzisz przyszłość polskiego rynku muzycznego w zjednoczonej Europie?**

– Obecność w UE pomoże nam. Istniejące w świecie zjawiska szybciej do nas dotrą i nie po-

przez VIVE czy MTV, ale bezpośrednio. Będziemy mieli żywy kontakt z wydarzeniami dziejącymi się w Europie i na świecie.

– **Masz na myśli ARTE?**

– Nie. Chodzi mi o kontakt bezpośredni w sensie dosłownym. Otwarcie granic spowoduje, że, zamiast jechać do Warszawy na jakiś przeciętny spektakl, o którym media pieją z zachwytem, można będzie pojechać na Broadway i zobaczyć widowisko z prawdziwego zdarzenia. Albo pojechać, jak to uczyniła ostatnio nasza pracownia *ja-snachmura*, do Andaluzji i posłuchać muzyki flamenco u źródła. Można pojechać do Indii i posłuchać tamtej muzyki, a można na weekend, za naprawdę nieduże pieniądze, polecieć do Londynu i posłuchać dobrej muzyki klubowej. Ludzie już zaczynają tak robić.

– **Uważasz, że ludzie będą podróżować po Europie w poszukiwaniu kontaktu z kulturą wyrafinowaną, intelektualną, świeżą, bo nie znajdują jej w zabitej dechami dziurze, w której żyjemy?**

– Tak się dzieje. Może nie do końca sprecyzowany jest powód tych wyjazdów, ale coś nas jednak ciągnie, żeby wyrwać się z szarości, z nieciekawej rzeczywistości. Przypadkowo trafiamy na ciekawe zjawiska, których u nas nie możemy spotkać albo spotkamy je dopiero za dziesięć lat. Tak, jak to zwykle bywa.

– **W jakim miejscu jest polska muzyka, z którą ty się kontaktujesz nie jako twórca, a jako odbiorca? W jakim miejscu jesteśmy w porównaniu z Europą, ze światem?**

– Jesteśmy cały czas krok, dwa kroki z tyłu. Nasze odbieranie kultury muzycznej odbywa się poprzez Stany Zjednoczone, które filtrują to, co się dzieje w Europie, a my, Polacy, z kolei czerpiemy to, co zostało przefiltrowane za oceanem. Kontakty bezpośrednie, o których rozmawialiśmy, są jednak ciągle znikome. A przecież w Europie dzieją się rzeczy bardzo interesujące. Chociażby we Francji. Już nie mówiąc o Anglii. Zresztą dzieje się tak w wielu krajach europejskich. Mamy, na przykład, negatywny obraz kultury muzycznej w Niemczech. Wiele lat tam grałem i wiem, że obraz ten jest z gruntu fałszywy. Obserwuję nie tylko wyższą kulturę muzyczną odbiorców – niemieckiego społeczeństwa – ale i muzyczną świadomość ludzi uprawiających muzykę.

– **Czym jest projekt YeShe? Muszę powiedzieć, że zostałem poruszony świeżością, siłą i pięknem tego projektu, zwłaszcza muzyki, choć w wypadku YeShe muzyka została organicznie połączona z intensywnym, bardzo nośnym, bogatym w znaczenia obrazem.**

– Pracując nad „Truskawkami” poznawaliśmy

nowe media. Zainteresowała nas wizualizacja dźwięków. Naturalną konsekwencją było, że przyszły projekt będzie w pełni multimedialny. Zawsze interesowała mnie muzyka transowa, ale nie miałem możliwości jej realizowania. Komputer pozwolił mi na samodzielną pracę w studio. Przygotowałem odpowiednią muzykę, dobrałem odpowiednich muzyków i tak powstała muzyczna strona YeShe. Z Dorotą Jabłońską, moim współpracownikiem, z którą prowadzimy pracownię *jasnachmura*, zrobiliśmy do każdego dźwięku, każdej piosenki osobną wizualizację i któregoś dnia, podczas Dni Częstochowy odpaliliśmy naszą raketę i do tej pory pędzimy. Nie wiemy, gdzie nas to zaprowadzi, w jakie rejony, ale z pewnością będzie kolejny multimedialny projekt. Pociąga nas w tej formie i to, że spektakl multimedialny angażuje dużo zmysłów.

– **Kto, obok ciebie, realizuje muzyczną stronę YeShe? Czy ci sami muzycy, z którymi nagrywałeś płytę?**

– Jest pewna rotacja, ale zasadniczy trzon pozostaje bez zmian: dwóch perkusistów – Andrzej Rajski, z którym współpracowałem przy kilku innych projektach, człowiek penetrujący obszar elektroniki, którym i ja się interesuję oraz Steffen Melder, z którym współpracowałem w Universal Supersession, następnie mój wieloletni współpracownik Mateusz Pospieszalski. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym w przyszłości realizować jakiegokolwiek projekt bez niego. Wiadomo, że to kiedyś nastąpi, ale póki co jest dla mnie poważną inspiracją. Moim ostatnim odkryciem jest interesujący gitarzysta Piotr Pawlak z Trójmiasta, z szerzej pojętej rodziny Tymona Tymańskiego. Od czasu do czasu współpracuję z Darkiem Makarukiem., który na co dzień bierze udział w projektach Włodka Kiniorskiego.

– **Z jakim odbiorem YeShe spotykasz się w kraju?**

– Dobrym. Bardzo dobrym. Co prawda za dużo nie gramy, bo to spory projekt: duża scena multimedialna wymagająca właściwej oprawy, a więc projektory, kable, sprzęt, obsługa, transport. To kosztuje. Nie każde miejsce na to stać. Ale jeżeli gramy, to głównie na festiwalach, podczas spektakli teatralnych i plenerowych wydarzeń miejskich.

– **Jesteście zapraszani z YeShe za granicę?**

– Owszem. Latem przyszłego roku jedziemy do Danii na duże spotkanie plenerowe w centrum Kopenhagi. Dzięki *jasnejchmurze* odnaleziono nas w Internecie i otrzymaliśmy zaproszenie do zaprezentowania YeShe także w Wiedniu. Przyznaję, że jesteśmy mało aktywni na tamtym obszarze. Znowu powraca temat czasu. Obecności za granicą trzeba poświęcić sporo czasu, a jesteśmy zawale-

ni pracą bieżącą. Na razie nie mamy kogoś, kto byłby naszym impresariem. W każdym razie, jeśli idzie o YeShe, mamy super recenzje.

– **W jakim zatem kierunku pójdzie twój rozwój twórczy? Nie pytam już tylko o muzykę.**

– Jak mawiał mój nauczyciel: „Ile można dmuchać w rurkę?”. Moja aktywność na tym polu, wcześniej czy później, skończy się. Myślę o poważnym zajęciu się swoim życiem. Przyszłością. Najpoważniejszy projekt, jaki podjęliśmy, to budowa ośrodka medytacyjnego. Cały ten rok poświęciliśmy z przyjaciółmi na to, żeby powstał. W wielu miastach Polski podobne ośrodki już istnieją. Będzie dostępny dla ludzi zainteresowanych praktyką medytacyjną. Tak więc sądzę, że moja przyszłość związana będzie z tą ideą. Oczywiście, żeby utrzymać siebie i rodzinę trzeba przejawiać aktywność w nieco innych obszarach.

– **Czy to znaczy, że będziesz kończył z twórczością muzyczną?**

– Myślę, że tak. Sam nie lubię oglądać podstawowych jegomościów rzucających się po scenie. Chciałbym sobie, rodzinie i przyjaciołom oszczędzić podobnego widoku.

– **A działalność kompozytorska? Pisanie muzyki do filmów i spektakli teatralnych?**

– Na tym poletku nie jestem specjalnie aktywny, ale rzeczy, które do mnie docierają nie są zbyt interesujące. Zresztą, jaki jest obraz polskiego filmu, każdy widzi. Nie mam ochoty uczestniczyć w tego rodzaju działalności. Współczuję moim przyjaciołom, którzy czasami piszą naprawdę cudozną muzykę do filmowych knotów. Po prostu szkoda mi na to czasu. Cała branża jest mocno moralnie zdewastowana i większość moich spotkań ze światem filmu kończy się totalnym niesmakiem. Mam w tej mierze kilka doświadczeń i na przyszłość wolę tego unikać.

– **Czym jest *jasnachmura*?**

– To rodzaj multimedialnej pracowni. Założą dowodzi Dorota Jabłońska. Naszym współpracownikiem jest Paweł Hartwig, stronę informatyczną prowadzi Piotr Sitkowski i Krzysztof Wojcieszak. Nad całością czuwa nasz opiekun, Wiesiek Mazur. Dzięki niemu możemy pracować z rozmachem i na odpowiednio wysokim poziomie. Jest to poważne przedsięwzięcie przerastające możliwości jednej osoby.

– **Wyjątkowe w kraju?**

– W jakimś sensie tak. Wiadomo mi o podobnych zjawiskach w Lublinie i w Trójmieście. Tego rodzaju działanie pochłania ogrom ludzkiej energii i pieniędzy i zwykle stać na nie jakąś poważną instytucję mogącą pozwolić sobie na zatrudnienie pracowników odpowiedzialnych za przedsięwzięcie. U nas wszyscy pracujemy dlatego, że mamy

nadmiar energii. Cieszy nas nowa przygoda. Robimy to w sposób naturalny.

– **Częstochowa, Lublin, Trójmiasto. Czy fakt, że ciekawe zjawiska mają miejsce poza stolicą coś oznacza? Coś symptomatycznego?**

– Wszystkie stolice, z wieloma ludźmi, mają to do siebie, że są bardzo „szybkie“. W tym sensie, że następuje w nich szybka rotacja zjawisk. Żeby być w obecnym w nurcie, trzeba uczestniczyć w życiu artystycznym, a jak się w nim uczestniczy, to nie ma już czasu, by samemu tworzyć. Do Warszawy przybywa się z gotowym produktem i pomysłem na to, jak go wypromować. Wtedy atakuje się Warszawę. Ale, w efekcie, cała nasza energia rozpuszcza się w tym miejscu. Tam się bardziej konsumuje sztukę niż tworzy.

– **Odnoszę wrażenie, że Warszawa generuje wyłącznie działania komercyjne.**

– Bo jest nastawiona na zysk. W Warszawie mają siedziby wszystkie większe instytucje, wszystkie większe telewizje i tak dalej. Konkurencja w produkcji papki jest tu nieprawdopodobna. Kręcący tym ludzie sami się napędzają w gonitwie za chłamek. Żyją w nierealnym świecie, który tworzą, więc sami są odrealnieni. Paradoksalne, ale sądzą, że jedynym realnym światem jest ten, który kreują. Oczywiście to fikcja, sen. Ale, w konsekwencji, ów świat generuje zjawiska nieciekawe. Wystarczy włączyć TVN, Polsat, TV2. Otworzyć większość pism zajmujących się kulturą i piejących o takich sobie artystycznie projektach. Na temat tej sztuki można przeczytać tony informacji. To jest chore. W pewnym wieku ludzie zaczynają narzekać na świat, że kręci się nie tak, jak powinien. Szukają przyczyn tego stanu. W moim przekonaniu przyczyną są coraz większe trudności z komunikacją. Zauważ, że bardzo trudno jest spotkać człowieka, który słucha, rozumie, co się do niego mówi i odpowiada na temat. A jak na przykład wygląda rozmowa naszych elit? Właściwie przekazują sobie komunikaty, nie słyszą siebie, nie rozmawiają. Na niższym poziomie to wygląda jeszcze gorzej.

– **Czy ośrodek medytacyjny jest twoją odpowiedzią na chaos? Na brak porozumienia? Komunikacji?**

– Tak. Aczkolwiek sama idea nie wyszła ode mnie. To pomysł ludzi, którzy kilkadziesiąt lat temu wylądowali na Dalekim Wschodzie i spotkali się z arcyciekawą kulturą i od tego czasu próbują zaszczepić pewne interesujące myśli i działania w zachodniej kulturze. Po 30 latach idea dotarła do nas, do Częstochowy.

– **Na koniec pytanie natury nieco filozoficznej. Ale najpierw mały wstęp. Nieoceniony**

Ośrodek Kultury Filmowej umożliwił ostatnio częstochowianom obejrzenie polskich filmów pokazywanych podczas festiwalu w Gdyni oraz filmów europejskich prezentowanych w ramach Festiwalu Sztuk SACRUM. Z nieuniknionej konfrontacji polskiej miernoty i europejskiego kunsztu filmowego najwyższej próby wyłania się ponury obraz dziwnego państwa, w którym dyktat nad kulturą sprawują głupcy i przeciętniacy. Dotyczy to zarówno tzw. menedżerów kultury, jak i twórców. Znamy mechanizmy, wiemy o klanach, kastach, o seniorach i wasalach, o upiorze ideologii żądającym od polskiego artysty podeptania własnej niezależności i wyraźnego ideowego opowiedzenia się po prawej lub lewej stronie. To jednak nie tłumaczy wszystkiego. Co, twoim zdaniem, leży u źródła faktu, że kultura tak dużego narodu nie potrafi zaproponować Europie nic oryginalnego, inspirującego. Dlaczego kultura polska jest protezą, nic nie znaczącą błahostką, kalką, bezczelną imitacją? Dlaczego nikt nie jest w stanie przeciwstawić się temu?

– Przez kilkadziesiąt lat żyliśmy w systemie, który produkował ludzi szarych, przeciętnych. Ich jedynym zadaniem życiowym było godzenie się na wszystko, co proponowała centrala. Myślę, że to pozostało w naszym mentalu. Takich ludzi wybieramy na naszych przewodników.

– **Domyślam się, że mówisz o przywództwie politycznym. Czy twoja ocena dotyczy także obszaru kultury?**

– Mówię o jakiegokolwiek sferze ludzkiej aktywności. Rzeczywiście boimy się tych, którzy mają coś ciekawego do zaproponowania, jakąś interesującą wizję, którzy mają wystarczającą kulturę i inteligencję, żeby nas prowadzić ku lepszemu. Czujemy się zagrożeni, kiedy lepsi nami przewodzą. Wolimy, kiedy naszym przewodnikiem zostaje człowiek przeciętny. Wiemy, że jest zakłamanym, skorumpowanym, ale możemy sobie powiedzieć, że to ja jestem lepszy. Później oczywiście wszyscy na tym cierpimy, bo głupiec zaprowadzi nas w miejsce, z którego trudno będzie wyjść. Człowiek światły, obdarzony wizją, czyniłby nasze życie lepszym. Problem w tym, że o wyborze przewodnika decyduje większość, a większość została ukształtowana przez system promujący przeciętność. Jesteśmy w naprawdę tragicznej sytuacji. Ludziom nieprzeciętnym pozostaje jedynie przetrwać. Najnormalniej w świecie przetrwać.

– **Dziękuję za rozmowę. Jestem przygnębiony.**

– Ja też, ale nie beznadziejnie.

Były ongiś (np. we Francji) salony poetyckie, w którym zbierali się przedstawiciele najwyższych sfer. Potem, w XIX wieku, mamy do czynienia z salonikami mieszczańskimi, gdzie już nie musiały panować maniery arystokratyczne. Oczywiście chodzi mi o samą nazwę. Spotkania literackie odbywały się u nas przed wojną, po wojnie, nawet w najgorszym okresie stalinowskim, a także odbywają się dzisiaj. Z tym, że salony obecne bardzo się zdemokratyzowały.

Z inicjatywy wybitnej aktorki Anny Dymnej powstał w naszym (częstochockim – przyp. red.) teatrze taki właśnie Salon Poetycki. Pierwszy spektakl (październikowy) poświęcony został poezji ks. Jana Twardowskiego. Drugi, na którym byłem, lirycie Haliny Poświatowskiej.

Przyznam się, że na tak miłym spotkaniu z Euterpe nigdy nie byłem. Uśmiech, uprzejmość, żadnej pompatyczności. Wszyscy swoi, zadowoleni, chociaż nie wszyscy się znali. W foyer tłok. Niektórzy słuchacze cisnęli się w drzwiach. Młodzież siedziała po turecku na wypolerowanej podłodze. Nad wszystkim z elegancją czuwał Marek Ślosarski, nowy wicedyrektor teatru. Pani Katarzyna Deszcz, od września ub. r. dyrektor, siedziała nieco z boku, jakby wciąż przypatrując się nie krakowskiej, lecz częstochockiej widowni. O czym myślała nie wiem, choć byłem bardzo blisko i mogłem ją wreszcie poznać oraz zamienić kilka słów.

Na chwilę przed rozpoczęciem czytania wierszy przez Czesławę Monczkę i Michała Kulę zobaczyłem nad głowami publiczności, tuż pod sufitem, słabo widoczną, niebieską aureolę. Coś nieokreślonego, na pół metafizycznego, co nazywamy atmosferą lub nastrojem poetyckim. Po każdym utworze panowała cisza. Niezwykła cisza. Wypełniały ją jakieś migotliwe pasemka. Emocje i myśli słuchających. Wyglądały owe smugi jak błyskające rybki w akwarium.

Salon Poetycki w częstochockim teatrze ma być stałą, comiesięczną imprezą. Oby nie okazał się efemerydą. To inicjatywa niezwykle celowa i potrzebna dla rozwoju duchowego choćby części częstochockiego społeczeństwa. Myślę, że prezydent miasta widzi to tak samo i pomoże, gdy zajdzie potrzeba.

Jeszcze jedna, trochę dygresyjna myśl. Czule byłem zdziwiony, że Euterpe ma wciąż swoich wielbicieli, aczkolwiek w skali ogólnej to garstka. Nadal bowiem pokutuje osąd, że poezja to bujanie w obłokach, oderwanie od rzeczywistości. Autentyczna w istocie poezja (nie grafomańskie wierszopisanie) chodzi twardo po ziemi. Trzeba tylko umieć wygarnąć, wyłuskać z nadmiernego często gąszczu metafor, wieloznaczności i niedomówień treść myślowo-emocjonalną. To czasami nie jest łatwe i proste, ale czyż życie jest łatwe i proste? Zresztą taki trud się sownie opłaci.

Tadeusz Gierymski



fot. Piotr Dłubak Atelier

Karzelki polskiego ekranu w cieniu Giganta

Gdyński Festiwal Polskich filmów Fabularnych jest przeglądem i podsumowaniem wysiłków polskich filmowców. Co roku, w galowej oprawie, w gwiazdorskiej aurze zapadają werdykty, wręczane są nagrody, kreowane są arcydzieła. Tymczasem od lat widać wyraźnie postępujący upadek rodzimej kinematografii. Skarlała, mierna i wtórna, odbiega od przywoitych standardów kina światowego, nie mówić już o sztuce filmowej. Właściwie nic w tym nadzwyczajnego, nie ma bowiem takiej dziedziny, w której bylibyśmy mistrzami lub chociaż wysokiej klasy profesjonalistami na skalę europejską.

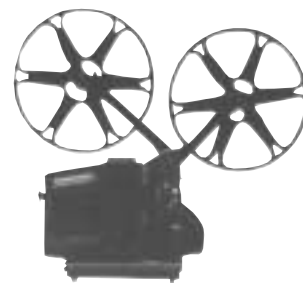
Tegoroczny gdyński festiwal, jeśli chodzi o filmowe dokonania, niczym mnie nie zaskoczył. Znowu adaptacje, nieśmieszne komedie dla prostaków, sporo obrazków psychologicznych, niektóre z naszkicowanym tłem społecznym. Ot, filmowa galanteria, o której się zapomina natychmiast po obejrzeniu. Natomiast szokiem było dla mnie przyznanie głównej nagrody „Warszawie” Dariusza Gajewskiego. Film słabutki pod każdym względem, wyprany z intelektualnych treści, banalny artystycznie, oprócz Złotych Lwów otrzymał kilka innych, pomniejszych nagród. Dlaczego? To wielka zagadka. „Warszawa” jest opowieścią o młodych ludziach. Śledzimy dzień z życia kilkorga bohaterów, przyjezdnych, którzy ganiają po mieście, by coś załatwić: dostać pracę, zamieszkać z ukochanym, odnaleźć córkę. Mnożą się postaci, wątki, niektóre pozostają nierozwiązane, inne zanikają. (Ewidentnie kiepski scenariusz.) Co z tego wynika? Nic. Jakie jest przesłanie? Takie, że wielu spraw nie udaje się bohaterom zrealizować, ale niektórzy odnajdują miłość. Szczęśliwe zakończenie. To wszystko. Pointa porażająco infantylna, mimo że reżyser dobiega czterdziestki. Film może się podobać młodej, niewyrobionej widowni. Na pewno. Ale czym zachwycić jurorów – doprawdy, nie wiem. Uhonorowanie filmu Gajewskiego nagrodami jest absurdem, na dodatek niebezpiecznym. Raz, że otwiera miernotom drogę do kariery, wbijając je w dumę, dwa, że jawnie kpi z reguł sztuki filmowej, a to jest niedopuszczalne. W konsekwencji zamiast filmowych twórców, mamy karzelki realizujące swe guściki.

O tym, że reżyserzy pokroju Gajewskiego cofają polską kinematografię, zaś ludzie przypinający im laury pogłębiają przepaść między filmem polskim a europejską sztuką filmową, można się

łatwo przekonać porównując „Warszawę” choćby z najnowszym obrazem Larsa von Triera „Dogville”. Oba filmy emitowane były w OKF-ie w grudniu ubiegłego roku. Wychodząc z najprostszego założenia, że dzieło sztuki filmowej to frapująca historia opowiedziana w oryginalny sposób, pobudzająca emocjonalnie, przy tym inspirująca myślowo, stwierdzam że „Warszawa” nijak ma się do tej definicji, natomiast „Dogville” całkowicie te warunki spełnia. Jeśli idzie o warstwę fabularną, film duńskiego reżysera jest rzeczywiście wciągającą, mroczną opowieścią o losach pięknej Grace, która uciekając przed gangsterami trafia do odciętej od świata osady, gdzie, za zgodą społeczności, otrzymuje schronienie. W zamian ma pracować dla swoich wybawców. Z pozoru mili, poczciwi mieszkańcy na początku traktują dziewczynę przyjaźnie, z czasem jednak czynią z niej niewolnicę, zaszczutą ofiarę poruszającą się w obroży i na łańcuchu. Schronienie okazuje się koszmarną pułapką. Historia Grace, mająca znamiona przypowieści, moralitetu, odwołująca się do Biblii, ilustruje filozoficzne konstatacje artysty na temat istoty zła. A że jest filmową ilustracją, a na dodatek ma uniwersalny charakter i może zdarzyć się wszędzie, świadczy wspaniały zabieg formalny zastosowany przez reżysera. Otóż miasteczko Dogville zostało narysowane na ogromnej scenie teatralnej: ulice to białe linie, jakby naszkicowane kredą, domy nie mają drzwi, światło jest nienaturalne. Zza kadru narrator, głosem Johna Hurta, przedstawia bohaterów, wprowadza widzów w akcję, wygłasza ironiczne komentarze. Wiele tu z ducha teatru, w tym perfekcyjne aktorstwo. Ale jest też widoczna gra z filmową tradycją, np. motyw obcego, przybysza, który swym pojawieniem się burzy zastany porządek społeczności, obecny jest w większości westernów, czy w filmach sensacyjnych, szczególnie tych o prowincjonalnej Ameryce. Przykłady można by mnożyć. Jednak przesłania filmu von Triera nie można zawęzić do krytyki amerykańskiej mitologii, nie jest też „Dogville” tylko szyderczą alegorią Ameryki, jak to widzieli komentatorzy. Wyrafinowany, intrygujący obraz Duńczyka to przede wszystkim studium narastającego zła, rozwijającej się przemocy. Twórca stawia wiele trudnych pytań na temat natury zła, jego genezy oraz tego, czy można je zwalczyć na przykład dobrem. Odpowiedzi nie wydają się oczywiste, mogą nawet zaskakiwać, a na pewno skłaniają do myślenia i prowokują do dyskusji. Na tym polega sztuka.

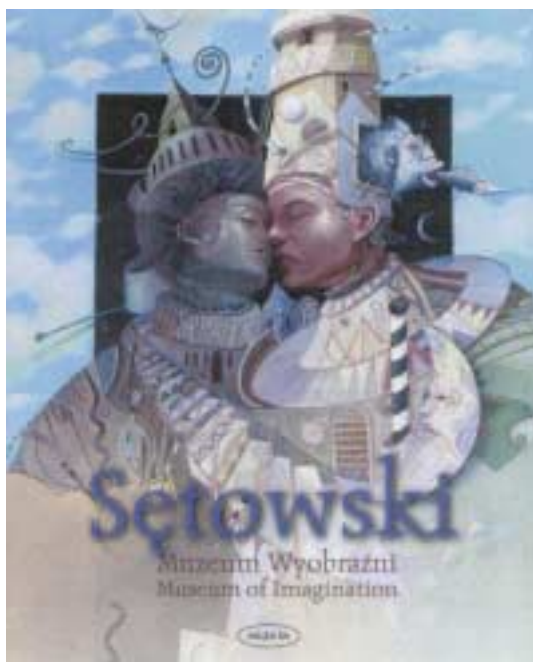
„Dogville” jest niewątpliwie dziełem sztuki filmowej, ekspresją osobowości wielkiego artysty. A „Warszawa”? Błahostką niewartą wzmianki.

Halina Piwowarska



O TOMKU

W listopadzie w wydawnictwie „Muza” ukazał się drugi album Tomasza Sętowskiego pt. „Muzeum wyobraźni”. Album prezentuje się okazale ze względu na duży format, ogromną ilość pięknych prac (130) oraz zdjęcia autorstwa J. Dędko i P. Dłubaka. Rozmawiam z osobistym menedżerem Tomka – Jakubem Malke.



Sławomir Burszewski: Na wizytówce Tomka Sętowskiego widnieje także twoje nazwisko, z dopiskiem: „organizacja wystaw, promocja prac”. Jesteś menedżerem Tomka?

Jakub Malke: Tak, można to tak nazwać. Zajmuję się czynnościami, które wymienisz. Malarz formatu Tomka musi mieć dużo czasu, aby tworzyć. Ja zajmuję się bieganiem po galeriach, umawianiem spotkań, wydawnictwami i szeroko pojętą promocją. Dla malarza zajęcie to może być męczące i kłopotliwe, szczególnie gdy cieszy się on dużą popularnością.

SB: Czy każdy malarz ma menedżera?

JM: W Polsce jest to zjawisko raczej rzadkie. Słyszałem w jednym z wywiadów, że ma go A. Kozyra. Niektórzy malarze korzystają ze wsparcia marszandów i kolekcjonerów. Z Tomkiem staramy się podpatrywać, jak to się robi na świecie i wyciągamy wnioski, dorzucając coś od siebie.

SB: Jak długo trwa wasza współpraca?

JM: Od roku 1998, kiedy pomogłem Tomkowi zamieścić jego prace w „Nowej Fantastyce”. Pisałem wtedy do różnych czasopism i możliwość druku załatwiłem po przyjacielsku. Tak się zaczęło. Dziś Tomek jest stałym „klubowym” malarzem „Nowej Fantastyki”. Nasza współpraca ciągle się rozwija. Wydaje mi się, że pomaga nam fakt, że prywatnie jesteśmy przyjaciółmi i nie staramy się robić niczego na siłę, za wszelką cenę.

SB: Czy zajmujesz się tylko i wyłącznie promocją malarstwa Sętowskiego?

JM: Tak, jeśli chodzi o rzeczy związane z malarstwem, ale menedżerowanie w niczym mi nie przeszkadza. Nie jest ono aż tak czasochłonne. Zresztą gdybym nie zajmował się twórczością Tomka, i tak pracowałbym w czymś podobnym. Na co dzień mam jednak inne zajęcia.

SB: Tomek odnosi sukcesy komercyjne w Polsce i za granicą. Czy chciałbyś się „zaopiekować” jeszcze innym artystą?

JM: Na razie w naszym kraju nie widzę malarza, który miałby swój łatwo rozpoznawalny styl, a jego prace charakteryzowałyby się dużą różnorodnością. Zresztą trudno mi o tym mówić, bo ja po prostu nikogo takiego nie szukam. To, co robi Tomek, to troszeczkę pop. Jest rozpoznawalny, ma swoją markę, ma siłę przebicia w przedsięwzięciach komercyjnych. Dowodem jest choćby wydanie ostatniego albumu w „Muzie”, na który ktoś musiał jednak zaryzykować dużą gotówkę. Tomka łatwo się promuje, ponieważ jego prace to dobry „towar”.

SB: Dużo podróżujesz po świecie?

JM: Ostatnio tak. Trochę po Ameryce. Tomek jako jedyny Polak ma swoje autorskie stoisko na największych na świecie targach sztuki „Artexpo” w Nowym Jorku. Prezentuje się też na innych wystawach, na wschodnim i zachodnim wybrzeżu Stanów. Przez próby w USA trochę zaniedbaliśmy Europę, ale już od przyszłego roku zaczniemy działania na rynkach europejskich. Chcemy poszukać odpowiednich galerii – być może znajdziemy takowe na targach sztuki Lineart w Gandawie. Szkoda, że w Polsce nie myśli się o stworzeniu fundacji promującej sztukę, tak awangardową, jak i figuratywną. Z powodzeniem robią to od lat Francuzi, wykupując ogromne stoiska na targach na całym świecie i promując swoich artystów. Takich pytań jest wiele. Dlaczego w Częstochowie do dziś nie powstała kolekcja sztuki artystów związanych z naszym miastem?

A przecież mamy się kim pochwalić – Michalik, Pałucha, Pogorzelski, Duda-Gracz, Kędziora, Głowacki, Pala, Łydzba, Sętowski. Gdyby władze miasta pomyślały o stworzeniu takiej różnorodnej kolekcji sztuki prezentowanej na stałej ekspozycji, Częstochowa naprawdę miałaby się czym szcycić.

SB: Czy starasz się też o wsparcie finansowe (poza zaprzyjaźnionymi biznesmenami) z Ministerstwa Kultury, fundacji itp.?

JM: Nie, z ministerstwem mamy niewiele wspólnego. Tam pieniądze rozchodzą się dziwnymi kanałami. Pogodziłem się z tym, że sztuka figuratywna nie jest odbierana jako działanie artystyczne. Dziś do Zachęty ma wstęp pani obierająca ziemniaki, ale już wystawa rocznicowa Dudy-Gracza błąkała się po Warszawie, by w końcu wylądować w Muzeum Etnograficznym (które, co zabawne, jest sąsiadem Zachęty). Mam zamiar starać się jedynie o dofinansowanie z funduszu „Phare” stoiska na „Artexpo”. W naszym kraju Tomek nie ma takiego uznania, na jakie sobie zasłużył. Lu-

dzie lubią jego prace – nie tylko klienci, którzy je kupują – i to być może jest solą w oku niektórych osób. Dobry malarz nie powinien się sprzedawać – niestety, tak uważa jeszcze wielu wpływowych ludzi w Polsce.

SB: Czy jesteś więc współtwórcą sukcesu Tomka?

JM: Sukces Tomek zawdzięcza wyłącznie sobie, a ja i kilku znajomych jedynie mu pomagamy. Wokół Tomka udało nam się stworzyć grupę przyjaciół. Piotrek Dłubak, doskonale znany artysta fotografik, od 10 lat fotografuje prace i samego Tomka. Jacenty Dędek, dziś jeden z fotoreporterów współpracujących z „National Geographic”, wykonał do nowego albumu niesamowity fotoreportaż z Muzeum Wyobraźni. Hubert Hetmańczyk pracuje nad stroną internetową, która zebrała szereg wyróżnień. Współpracuje też z nami wiele innych osób. Co ciekawe, wszyscy są mieszkańcami Częstochowy bądź jej okolic.

SB – Dziękuję za rozmowę.



Sztuka i nadzieja



Marian Schmidt
Ołomuniec, Czechy
2001, fotografia

Wystawa „Zawsze z nadzieją”¹ stanowiła część programu Dni Kultury Chrześcijańskiej, które – zorganizowane przez Duszpasterstwo Środowisk Twórczych z ks. Grzegorzem Ułamkiem, we współpracy z instytucjami kulturalnymi Częstochowy – spotkały się z żywym zainteresowaniem publiczności. Te Dni, nawiązujące do znakomitych Tygodni Kultury Chrześcijańskiej lat osiemdziesiątych, poświęcone były 25-leciu pontyfikatu Jana Pawła II. Słuszne więc będzie dla zrozumienia idei wystawy sięgnięcie do tekstów Papieża, tym bardziej, że wcale nie potrzeba naciąganych jubileuszowo interpretacji. Bowiem Jan Paweł II przypisuje kulturze rolę podstawową. „Człowiek żyje prawdziwie ludzkim życiem dzięki kulturze.”² „Kultura jest wyrazem człowieka. Jest potwierdzeniem człowieczeństwa. Człowiek ją tworzy – i człowiek przez nią tworzy siebie.”³

Wielką wagę przywiązuje Papież do sztuki. „Świat bez sztuki naraża się na to, że będzie to świat zamknięty na miłość”⁴ „Sztuka podąża podobnymi drogami co wiara. Wszelka autentyczna sztuka interpretuje rzeczywistość pozostającą poza zasięgiem zmysłów. Rodzi się z milczenia zachwyty lub z protestu szczerego serca. Stara się przybliżyć tajemnicę rzeczywistości. To, co jest istotą sztuki mieści się w głębi człowieka, tam, gdzie dążeniu do nadania sensu swojemu życiu towarzyszy przelotne poczucie piękna i tajemniczej jedności rzeczy.”⁵

„Ten, kto wierzy, kto kocha, kto ma nadzieję w chrześcijańskim rozumieniu tego słowa, wkracza w nowy świat. Tak samo jak ten, kto z pasją uprawia sztukę, do której upodobanie i talent dał mu Bóg.”⁶ Czy może być w ustach Papieża większa pochwała sztuki, jej roli, nieodzownej wręcz konieczności, niż gdy zestawia ją z tym, co dla chrześcijanina największe – z miłością, gdy porównuje ją wprost z wiarą? Jan Paweł II cytuje Maxa Reinharda, który „nazwał sztukę pokarmem, a więc – warunkiem dojrzałego ludzkiego życia”⁷. Powołując się zaś na Rainera Marię Rilke stwierdza: „Pomocnica człowieka – oto wspaniała definicja i wspaniałe zadanie sztuki”⁸ „Już Grecy przypisywali sztuce moc wspomagania, leczenia, wyzwalania i oczyszczania. Należy tu jeszcze dodać moc zachęcania do nadziei (podkr. autora) i usiłowanie nadawania sensu, nawet jeśli nie można odpowiedzieć na każde ludzkie dlaczego”⁹.

„Chrystus mówi o świetle dobrych uczynków. Sięgając dalej – w sferę powołania artystycznego – można by mówić o świetle ludzkich dzieł. To światło jest pięknem – piękno bowiem, jako ‘blask formy’, jest szczególnym światłem dobra zawartego w dziełach człowieka-artysty”¹⁰. Papież bynajmniej nie obraca się tylko w sferach ideału. „Literatura, film, sztuki plastyczne uważają się dzisiaj w znacznym stopniu za formę krytyki, protestu i opozycji, za oskarżenie tego, co się dzieje. Piękno wydaje się być kategorią wypieraną ze sztuki na rzecz ukazywania człowieka w jego negatywności, w jego zabłąkaniu bez wyjścia, w braku sensu. Wydaje się, że to właśnie jest owo aktualne *ecce homo*.”¹¹ „Bez realności zła nie sposób pojąć w pełni także realności dobra, odkupienia, łaski, zbawienia. Nie jest to jednak „przepustka” dana złu, chodzi jedynie o ukazanie jego miejsca w rzeczywistości. Trzeba tu przypomnieć i wskazać sprawę, która nie jest bez znaczenia i nie jest wolna od niebezpieczeństw. Czy zwierciadło negatywności, którym posługuje się współczesna sztuka nie staje się celem samym w sobie? Czy nie prowadzi do zasmakowania w złu, do radości zniszczenia i upadku, czy nie prowadzi do cynizmu i znieważania człowieka?”¹² „(...) rozdarcie kultury zachodniej szczególnie wyraźnie odbija się na sztuce. Obnaża ona tragizm człowieka – stopniowo, ale w sposób niezawodny. Czasem towarzyszy temu pycha, czasem rezygnacja. Zapewne cierpienie ludzkie zawsze było tematem sztuki. Wszyscy wielcy artyści, niekiedy przez całe życie, podejmowali problem cierpienia i rozpacz. Jednakże wielu z nich pozwoliło, by znalazło się w ich sztuce miejsce dla nadziei, która jest czymś większym niż cierpienie i poniżenie. (...) przypominali tajemnicę nowego zbawienia, odnowionego świata. Także w naszych czasach winno to być przesłaniem autentycznych artystów, którzy żyją prawdziwie tym wszystkim, co ludzkie, a nawet tragiczne w człowieku, ale którzy jednocześnie potrafią właśnie odkryć nawet w tym, co tragiczne, nadzieję, która jest nam dana.”¹³

Już przez samą decyzję udziału w wystawie „Zawsze z nadzieją” częstochowscy artyści dają wyraz swojej postawie, zainteresowaniu pierwiastkiem duchowym w swej twórczości. Wyrażają to w różny, charakterystyczny dla siebie sposób. Niektórzy sięgają przy tym do prac dawniejszych, które uważają za szczególnie istotne. Tak jest w przypadku Andrzeja Desperaka. Pokazał on monumentalne, pełne

skupienia i mistycznego spokoju „Zmartwychwstanie” – obraz eksponowany po raz pierwszy po stanie wojennym na jednej z wystaw niezależnych w auli Duszpasterstwa Akademickiego. To dzieło bardzo silnie przemawia w sferze artystycznej i religijnej, łączy obraz cierpienia, ciszę kontemplacji z nadzieją. Postać Chrystusa – wzorowana na odbiciu z Całunu Turyńskiego – jest ukazana w chwili, gdy umęczone martwe ciało zaczyna jak gdyby ożywać, przeniknięte impulsem zmartwychwstania. Aleksander Markowski przenosi rozdraganą jasną zieleń ogrodu rodzinnego domu do podjasknogórskiego parku, porządkuje linearnymi sylwetami pni i konarów, wzbogaca grą słonecznych plam na ziemi.

Światło jest nośnikiem i symbolem wartości duchowych w wielu obrazach. Obok już wymienionych można zwrócić uwagę na „Jasną Górę” Anny Wawrykiewicz-Żakowicz, gdzie w dali ze spopielałej ziemi wyrasta rozświetlona sylweta klasztoru, a także prace abstrakcyjne lub zbliżone do abstrakcji. Pośród nich pastele Włodzimierza Karankiewicza, płótna Wernera Lubosa, fotografie Elżbiety Siwik, czarny obiekt „Tablica projekcyjna” Włodzimierza Kuleja oraz pełen prostoty, elegancji i powagi autorski plakat Janusza Pacudy do „Requiem” Mozarta, zwłaszcza zaś mocny obraz „Modlitwa” Agnieszki Kwapisz. Z abstrakcyjnych plam artystka kreuje przestrzeń jakby krajobrazu czy wnętrza z jasnym, niewielkim prześwitem, który skupia uwagę jak księżyc na nocnym niebie albo świecące okno. Ciemność rozdarta jest czerwienią, co nasuwa mi odległe skojarzenia z widzianą kiedyś „Etiudą rewolucyjną” Zdzisława Kałędkiewicza.

Ufność w Bożą opiekę wyraża „Mój anioł stróż” Bartosza Frączka. Odchodząc od tradycyjnej ikonografii tego tematu artysta skupia uwagę na symbolicznej formie przypominającej skrzydła tworzące złociste rozbłyski w ciemnej przestrzeni mistycznej drogi. W pracy Joanny Jeżewskiej-Desperak „Bez tytułu” widać dążenie do wzmocnienia ekspresji: dawniejszą delikatną ulotność ptasich skrzydeł zastępuje dramatyczna forma nagiego ciała ni to ptaka ni człowieka. Płaszczynami intensywnego, nasyczonego, rozjarzonego koloru Piotr Kaniecki buduje swój pejzaż – wizję Jerozolimy. Układy swobodnych miękkich plam, które tworzą abstrakcyjne, nawiązujące do organicznych, formy wypełniają „Ogrody wieczorem” Jarosława Kobytkiewicza.

Są na wystawie obrazy figuralne. Niektóre to sceny z Ewangelii. Magdalena Snarska na-

wiązuje do renesansowych przedstawień. W pięknym „Zwiastowaniu o świecie” poetycka scena rozmowy Anioła z Maryją nasycona jest złocistym światłem. Ekspresyjny obraz Tomasza Musiała „Ludzie przy stole” pokazuje rzeczywistość, która jest jak gdyby parodią Ostatniej Wieczerzy – przypomina posiedzenie komunistycznych rewolucjonistów czy partyjnych funkcjonariuszy – przy czerwonym stole z białą rozłożonych papierów. Duże płótno „Pierwsza Komunia” Jarosława Kweclicha, laureata Konkursu na Obraz 2002 – zainspirowane zostało grupowymi zdjęciami dzieci komunijnych. Postaci malowane są nieco szkicowo, szeroko i pewnie. Nawiązanie do czarno-białej fotografii nasuwa skojarzenie z pracami Antoniego Fałata także przez wyraźne odczuwalną, choć nie tak jak u tamtego mocno podkreśloną, aurę melancholii, smutku, przemijania.

Grafika jest – jakościowo dobrze, choć ilościowo skromnie – reprezentowana litografiami Krystyny Sz wajkowskiej z cyklu „Historia naturalna”, które przenika zamyślenie nad stawaniem się – i przemijalnością – przyrody ożywionej i człowieka, zapisanymi w śladach skamielin. Monochromatyczne jasne kompozycje Aldony Smołąg, przypominające splekane powierzchnie wiekowych budowli, skłaniają do refleksji nad losami ludzkich cywilizacji. Jacek Łydzba w oryginalnej wypowiedzi plastycznej wykorzystuje charakterystyczne dla Częstochowy motywy – tym razem figurki ze straganów.

Powtarzane elementy wpisane w formę krzyża, z symbolami patriotycznymi, układają się w kartoteki zdjęć, ludzkich istnień wprzęgniętych w tragiczne wydarzenia historii. Z tych anonimowych tysięcy wyrastają postaci bohaterów: ksiądz Jerzy, ojciec Kolbe (Krzysztof Tomczyński „Kartoteka”).

Czy tajemniczość można utożsamiać z Tajemnicą, sacrum? Tajemniczość bywa cechą prac z kręgu fantastyki. Z tego nurtu wywodzi się twórczość Arkadiusza Zająca.¹⁴ Jego „Astralny port”, utrzymany jest w intensywniejszym niż dotąd, lecz zharmonizowanym kolorystycznie, gamie błękitów. Kim jest owa tajemnicza zjawia dziewczyny? Przypominam sobie „Wizję” Witolda Pruszkowskiego. Czy jednak w interpretacji wolno się tu kierować w stronę Gwiazdy Morza, którą „błędny żeglarz wzywa”, aby go prowadziła do bezpiecznego portu?

Gdybym miał krótko podsumować swoje wrażenia, powiedziałbym: dobra wystawa,¹⁵ na dobrym, wyrównanym poziomie. Jeszcze na jeden aspekt takich prezentacji chciałbym zwró-

cić uwagę. Pisze o tym Papież: „Sztuka nie tylko pozwala uczestniczyć w tajemnicy człowieka, którego chce przywołać, przedstawić, odmalować, wyśpiewać, ale tworzy także więzi pomiędzy wszystkimi ludźmi, którzy tę sztukę uprawiają, którzy ją kontemplują lub którzy się nią cieszą. Będąc wyrazem tego, co w pełni ludzkie, sztuka ma charakter uniwersalny, stawia opór czasowi i przestrzeni. (...) Poprzez epoki i poprzez różnorakie kultury autentyczna sztuka zwraca się do wszystkich ludzi. Gromadzi ich, podobnie jak czyni to miłość. Władza, ambicja, pragnienie posiadania są przyczyną podziałów: tego, co się posiada, ktoś drugi jest pozbawiony. Ale kiedy słuchamy razem koncertu, kiedy podziwiamy dzieło sztuki, wszyscy otrzymujemy ten dar, każdy na swój sposób i doświadczenie to nas wzbogaca.”¹⁶ Właśnie ze względu na owo budowanie więzi ten rodzaj wspólnej prezentacji artystów naszego środowiska ma szczególne znaczenie.

Władysław Ratusiński

Ku cywilizacji życia

O Triennale „Sacrum” ukazało się już niejedno omówienie w prasie, nie tylko częstochowskiej. Wspaniała jest idea tego rodzaju przedsięwzięć pod warunkiem, że ma to być spotkanie religii, kultur, radosne zadziwienie odnajdywaniem wspólnych elementów i wartości, czyli tego, co łączy. Zaprzeczeniem takiej idei byłoby natomiast przyjęcie – niczym nieuzasadnione – postawy wyższości twórcy czy krytyka, który wrzuca wszystko do jednego worka. Pamiętajmy, iż poczucie wyższości czy pycha grozi nie tylko ludziom głęboko przekonanym o wartości własnej kultury lub religii. Przekonanie to można pogodzić z głębokim szacunkiem dla innych religii, kultur i osób je reprezentujących. Gorzej, gdy ktoś stawia swoją osobę poza i ponad – czując się uprawnionym do traktowania tego skarbcza wyłącznie jako materiału dowolnej manipulacji, pozbawionej głębszego sensu. Ładuje się to razem i obok siebie, aby tylko było tajemniczo i mądrze. Oczywiście nie mam tu na myśli autentycznych, szczerych poszukiwań i duchowej wędrówki ku prawdzie. Nie próbuję oceniać indywidualnych motywów, postaw, a tylko zauważalne tendencje, niekoniecznie związane ze wspomnianą wystawą. Osobnym problemem jest to, że dla niektórych pojmowanie sacrum zdaje się być

utożsamiane z ezoteryczną wiedzą tajemną.

Czym właściwie jest sztuka sakralna? Artyści i teoretycy sztuki różnie odpowiadają na to pytanie. Stanisław Rodziński rozróżnia – jako coś szerszego – sztukę religijną będącą indywidualnym, subiektywnym wyrazem wewnętrznego nastawienia, myśli i przeżyć artysty skierowanych ku Bogu oraz sztukę sakralną, która służy Bogu, kultowi religijnemu, Kościołowi, wspólnocie modlitwy w sakralnym wnętrzu i jest poddana specyficznemu regułom. Jerzy Nowosielski zaś rozszerza pojęcie sztuki sakralnej – uważa, że prawdziwa sztuka jest zawsze sakralna.

Chcę w tym miejscu przytoczyć słowa Jana Pawła II o religijnych inspiracjach w sztuce: „Pismo Święte stało się zatem swego rodzaju ‘ogromnym słownikiem’ (P. Claudel) i ‘atlasem ikonograficznym’ (M. Chagall), z którego czerpała chrześcijańska kultura i sztuka”¹⁷. Papież docenia wielkie dzieła różnych kultur, bodźce dla ludzkiego geniuszu w różnych środowiskach religijnych. „Wystarczy wspomnieć sztukę antyku, zwłaszcza grecką i rzymską, czy choćby kwitnące do dziś prastare cywilizacje Wschodu”¹⁸. Szczególnie bogaty skarbiec twórczych inspiracji widzi jednak w chrześcijaństwie: „Dla wszystkich (...), wierzących i niewierzących, dzieła sztuki inspirowane przez Pismo Święte pozostają jakby odbłaskiem niezgłębionej tajemnicy, która ogarnia świat i jest w nim obecna”¹⁹.

Hasło „Ku cywilizacji życia”, kierując myśl w oczywisty sposób ku papieskiemu nauczaniu w tej dziedzinie, ma wymiar ogólnoludzki. „Ku cywilizacji życia”, a więc ku takiej, w której ludzkie życie będzie szanowane i chronione bez żadnych „ale”, zaś respektowanie praw jednostek i społeczeństw, współpraca, pokój, godne warunki bytu, uwzględnianie duchowego wymiaru człowieczeństwa i poszanowanie dla całego stworzonego świata – staną się czymś naturalnym, choć nie przestaną wymagać wysiłku w realizacji. Całe ludzkie życie, jego dramat, radość i nadzieja jest w polu zainteresowania artystów, wypowiadających się przy użyciu środków charakterystycznych dla sztuki współczesnej.

Droga Krzyżowa to męka i śmierć Zbawiciela prowadząca do zmartwychwstania, tajemnica ludzkiego cierpienia nie zawsze w perspektywie miłości i nadziei. Na V Triennale jest wymownie obecna. Drodze Krzyżowej poświęcony został cykl fotograficzny Marty Milewskiej. Monumentalna Pieta Jerzego Kapłańskiego porusza wyrazem cierpienia na twarzy Matki.

Codziennosc wielkiego miasta i los ludzi dotkniętych kalectwem to także Droga Krzyżowa, którą podąża człowiek, bohater płócien Leszka Żegalskiego. Swoistą kontynuacją wątku pasyjnego stało się misterium Drogi Krzyżowej Teatru Gry i Ludzie z Katowic zaprezentowane w kościele ewangelicko-augsburskim.²⁰ Płynnością niemal tanecznego ruchu, zamierającego w żywe obrazy, odniesieniami do teatru antycznego i średniowiecznych misteriów, z ekspresyjnymi maskami wprowadzającymi ensorowski klimat, recytacją i muzyką – teatr ów sugestywnie opowiadał o największym wydarzeniu, choć było w tym i coś z parafialno-szkolnego widowiska.

Nie byłoby przesadą stwierdzenie, że w Miejskiej Galerii zaistniała historia sztuki polskiej czasów współczesnych. Już nazwiska artystów, których prace były prezentowane, mówią za siebie – niektóre prace należą do najbardziej znaczących w ich dorobku – Andrzej Wróblewski, Tadeusz Kantor z rekwizytami i fotograficzną dokumentacją spektaklu oraz znanym powszechnie ambalazem z parasolem. Są dzieła czołowych postaci nurtu w polskim malarstwie nawiązującego w różny sposób do surrealizmu – Kazimierza Mikulskiego, Zbigniewa Makowskiego, Jerzego Krawczyka, Władysława Hasiora. Jest jeden z najlepszych i najbardziej znanych obrazów Leszka Sobockiego – „Polak” z roku 1980/81, płomieniste „De profundis” Jerzego Tchorzewskiego, Jerzego Nowosielskiego cerkiewki i „Pejzaż łódzki” oraz dobrze zestawione „Okno” i „Wynani z raję”, które mają tak wiele wspólnego, choć dzielą je dziesiątki lat. Są abstrakcje Stanisława Fijałkowskiego, ekspresyjne prace Eugeniusza Markowskiego i związane z konceptualizmem Natalii Lachowicz, szarosrebrny krzyż Zdzisława Beksińskiego i mistyka przedmiotu Aldony Mickiewicz. Reprezentowani są także „Nowy Dziki” Zdzisław Nitka, Jacek Waltoś i Jacek Sempoliński. Henryk Błachnio prowadzi procesję pionków-ludzików (sprawują sakralne ceremonie, zagubione w zewnętrznym sztywnym uporządkowaniu, pozostają oddzielnie, samotnie wobec obojętnej chłodnej Doskonałości, nieprzyjaznego ogromu), a Henryk Waniek myśli raczej niż śni swój nasycony symbolami „Sen o Mojżeszu bez Mojżesza”.

Są to przykłady bogactwa i różnorodności artystycznych kreacji, wpisujących się – z woli samych artystów lub autorów wystawy – w hasło, które okazało się w tym przypadku dosyć pojemne.

Moją uwagę zwróciły również operujące symbolicznym skrótem kompozycje graficzne siostry Natanaeli, monumentalne w swej prostocie rysunki Pawła Warchoła „Chrzcielnice”, malarski dyptyk Elżbiety Wasyłyk przywołujący ewangeliczną scenę z apostołem Tomaszem, zadziwiający, misterny rysunek piórkami i ołówkiem Michała Hrisulidisa („Niekończąca się Bajka!..”), który zdaje się ujmować samą esencję treści zawartych w tytule wystawy. Nie sposób także nie zwrócić uwagi na wyeksponowane naprzeciw wejścia bardzo efektowne obrazy Krzysztofa Kiwerskiego, które są całymi cytatami lub parafrazami mistrzów *maniera tenebrosa*. W każdym pojawiają się monstrualnej wielkości, świetnie namalowane owady, które wywołują – zapewne zamierzony – niepokój, zgrzyt. Niechby tam sobie były różne zwierzaki, co mi zależy. Nie rozumiem tylko co ma wyrażać zmutowany szarańczak pasikonik zamiast Dzieciątka Jezus z „Bożego Narodzenia” La Toura? Nawet gdyby sięgać po niektóre z symbolicznych znaczeń poszczególnych rodzajów owadów albo dostrzegać czułość Matki opiekującej się stworzeniem. Ekologiczna prowokacja? Czy może przewrotna kpina z ubóstwiania natury, stawiania stworzenia na miejsce Boga?

Znaczną część pokazanych prac można, według klasyfikacji Stanisława Rodzińskiego, zaliczyć do sztuki religijnej. Wśród nich są również takie, które czerpią wyraźną inspirację z Biblii, lub bezpośrednio przywołują biblijne sceny i postacie. Krzysztof Skarbek dynamicznie, śmiałym malarskim gestem pokazał scenę uzdrowienia dokonywanego przez Jezusa. Jerzy Piotrowicz, malarz, którego twórczość, szczególnie w końcowym etapie, w niezwyklej sposób jest przeniknięta Biblią tak jak ciepłe, złotordzawe światło przenika pokazane tu obrazy – zaistniał na wystawie poprzez płótna z przepiórkami na pustyni i z Mojżeszem w czarnym kapeluszu. Biblia w tej twórczości jest interpretowana ze szczególnym rodzajem ekspresji, w sposób indywidualny, aktualny i uniwersalny zarazem. Postacie biblijne nie są odziane w stroje z dawnych epok, to po prostu religijni żydzi, ale uwspółcześnienie bynajmniej nie jest sztuczne. Mniej chodzi tu o konkretne osoby – są raczej znakami dziejącego się bosko-ludzkiego misterium

Obrazy ukazują również Biblię w jej ludzkim wymiarze. „Gereon” Grzegorza Stachańczyka, jak i inne płótna cyklu „Azyle niepewnego życia” niepokoją wyczuwalną atmosferą zagrożenia, przemijalności ludzkiego, ziemskiego by-

towania – niepokoją też i fascynują pięknem malowania postaci i dziwnym światłem.

Dla Jarosława Modzelewskiego natomiast inspirujące okazują się elementy wnętrza zwykłego, nowego kościoła w miejskim osiedlu i to, co się w nim wokół ołtarza dzieje.

Niektórzy artyści w poszukiwaniu sacrum sięgają do różnych kultur i religii – jak hinduizm, buddyzm – traktowanych nieraz w sposób synkretyczny. Są też prace odnoszące się do ezoteryzmu, magii.²¹

Środki artystycznej wypowiedzi nie ograniczają się do tych, które są właściwe malarstwu, rysunkowi, grafice – choć właśnie one przeważają. Obok fotografii (przejmująca „Wigilia” Wojciecha Prażmowskiego) i rzeźby – są też instalacje i obiekty, podejmujące ważne filozoficzne i egzystencjalne tematy, czasem z nutą pesymizmu i sarkazmu (light-box Rafała Jakubowicza).

Wiele z wystawionych prac można odbierać jako sztukę sakralną według wspomnianej wcześniej rozszerzonej definicji Jerzego Nowosielskiego. W tym kontekście dobrze, że cała rzecz nie nosi nazwy triennale sztuki sakralnej a Triennale Sztuki „Sacrum”. Tak więc sacrum jest tytułem, a nie bezpośrednim określeniem charakteru prezentowanych dzieł. Stwarza to szerokie możliwości, bowiem pierwiastek sacrum może się objawiać w najprzeróżniejszy sposób. Co jest sacrum w sztuce, a co nie jest, to może bardziej kwestia intuicji, wyczucia. Jasne, że sam temat, na przykład biblijny, nie decyduje o sakralnym charakterze dzieła. Ważny jest sposób podejścia artysty. Czasem dzieło pozornie dalekie od religijnych odniesień może mieć właśnie charakter sakralny, wywoływać u widza takie refleksje, przeżycia, odbiór dotykający sfery sacrum. W rozważaniach nad częstochowskim Triennale warto jednak mieć na uwadze wątpliwości jego inicjatora, Wojciecha Skrodzkiego, wyrażone już przy okazji trzeciej wystawy, w roku 1997.

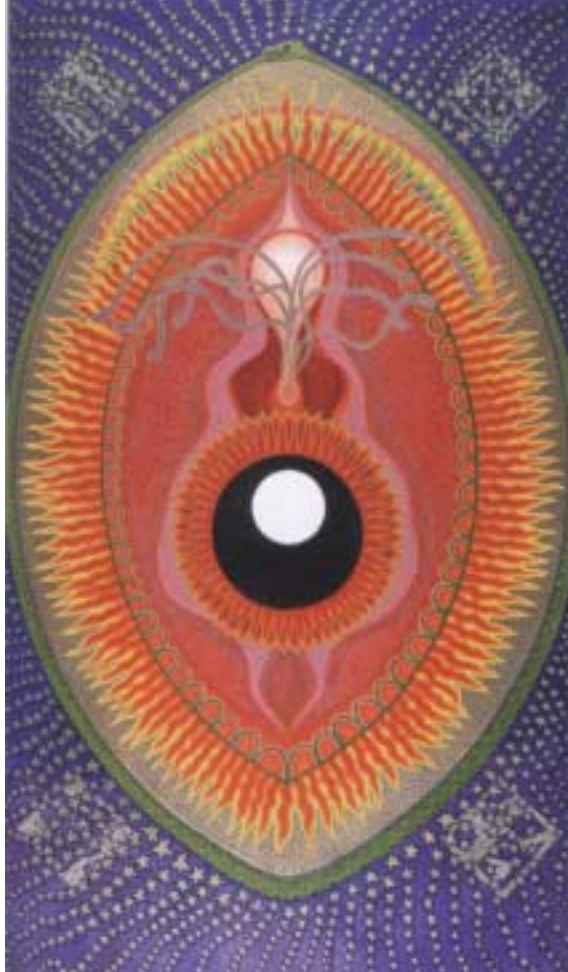
Można powiedzieć, że sacrum jest obecne wszędzie, także poprzez jego zaprzeczenie lub brak, ale wtedy przekonywałoby ukazanie jego dojmującego głodu. Dobór dzieł na tak szczególne wydarzenie artystyczne wymaga wyjątkowego wyczucia i odpowiedzialności, aby nie doprowadzać u odbiorców do pomieszania pojęć. Powinno to dotyczyć również każdego bez wyjątku z pokazywanych na Festiwalu „Sacrum” filmów. Argument „takie jest życie” nie może być decydujący. Nie trzeba używać nazwy Festiwal „Sacrum”, aby propagować jakiegokolwiek wartości i postawy – nawet

gdyby było to motywowane pragnieniem czynienia dobra wynikającego z najgłębszego dobra tkwiącego w ludzkiej naturze. Nasuwają się pytania zasadnicze, podstawowe: czy Triennale i Festiwal Sztuki „Sacrum” mają ukazywać wszystko, całą rzeczywistość życia, w której to rzeczywistości jakieś pojęcia sacrum się przebijają? Może te artystyczne przedsięwzięcia raczej same powinny być mocnym świadectwem Sacrum?

Obecna formuła Triennale Sztuki „Sacrum” dowodzi, iż nie wyczerpało ono swoich możliwości i bardzo ważna jest kontynuacja tego przedsięwzięcia w przyszłości – bez przesądzenia o jego przyszłych formach. Na podkreślenie zasługuje też interdyscyplinarny charakter Triennale, dzięki czemu można było uczestniczyć nie tylko w happeningu w Alejach, który łączył wspomnienie pielgrzymek i dopiero co zakończonej dożynkowej wystawy ciężkiego sprzętu rolniczego. Happening, choć bardzo widowiskowy na skutek wykorzystania fajerwerków, budził we mnie wątpliwości, zwłaszcza, że mieliśmy do czynienia z drugą już jego wersją. Ale były też rzeczy tak oryginalne i ważne jak duet „Sol et Luna” śpiewający w sposób niezwykle mistyczną poezję.

Stawne Gardzienice²² oryginalnie rozpoczęły swój spektakl, wyświetlając na wielkiej amforze, jak na ekranie filmowym, zapis scen – genialne wręcz ożywienie antycznych malowideł. Artystyczna próba rekonstrukcji muzyki i tańca starożytnej Grecji również wypadła bardzo przekonująco. Cały występ emanował wysokim profesjonalizmem. Spektakl „Metamorphozy”, utrzymany w konwencji przypominającej bachanalia i sowizdrzalskie gry, udowodnił, że można przekazywać w taki sposób nawet najważniejsze, najpoważniejsze treści – także filozoficzne i teologiczne. Jednak przy całym mistrzostwie owego przekazu sprowadzanie wszystkiego do tej formy – drwiącego dystansu, wygłupu, przy ogromnym zaangażowaniu i wysiłku fizycznym i emocjonalnym – stawało się chwilami z lekka irytujące. A już sposób ukazania kontrastu postaci Dionizosa i cierpiącego Chrystusa (ten sam aktor żonglujący belką, prześmiewcze nawiązania do fragmentów Ewangelii), był po prostu jak bluźniercza profanacja. Mówię o swoim odbiorze, nie o intencjach twórcy. Gdybyż to chodziło tylko o kpinę z jakichś przejawów religijności – tu parodia zdawała się godzić w samą istotę chrześcijaństwa, w sposób wulgarny, przykry, bolesny. Nie tylko w ideę – ale w Osobę i jej cierpienie.

Andrzej Urbanowicz
„XXX”
olej, płótno



Rafał Jakubowicz
„Light-box”



A może świadomość – uzasadniona! – wartości artystycznej dzieła zrodziła w twórcy pewien zanik wrażliwości, przekonanie, że we wszystkim ma rację i wszystko mu wolno?

Pokazane później na wystawie multimedialnej bardzo ciekawe zapisy ukazywały źródła, inspiracje Gardzienic i ich twórcy, Włodzimierza Staniewskiego. Aktorzy włączają się w tchnące głębokim przeżyciem pielgrzymowanie na Świętej Górze Grabarce, gdzie dzieje się autentyczne misterium ludowej pobożności włączone w mistykę liturgii Kościoła Prawosławnego. Jednak, czy środki wyrazu stamtąd zaczerpnięte budują poczucie sacrum, czy to jest ich celem? Wydaje mi się, że odpowiedź mogą być słowa samego twórcy o dążeniu do innego, lepszego świata nie z tej ziemi. Z jakiej więc? „Z ziemi mego serca, mojej duszy, mego umysłu.” Może z ziemi sztuki? Czy zatem to sztuka, sama w sobie, miałaby być owym Sacrum? A pieśń chwały, którą śpiewa całe stworzenie, na którą szczególnie zwraca uwagę Włodzimierz Staniewski – komu jest śpiewana?

Wspominam spektakl Teatru Wierszalin.²³ Gardzienicka konwencja teatru jarmarcznego i historia, która mogłaby być interpretowana nawet dość humorystycznie, dały spektakl o głębokiej, wręcz mistycznej wymowie – tutaj raczej odwrotnie. Bogactwo tekstów, wątków, symboli, także tych najwznioślejszych, a efekt – postmodernistyczne mieszanie dla mieszanina. Szkoda, że w wywodzących się z misterium spektaklach teatralnych obecnego Festiwalu nie udało się połączyć – w tym samym przedstawieniu – próby dotarcia do przeżywania sacrum i artystycznej doskonałości warsztatowej.

Wystawa składała się z czterech ekspozycji autorskich i pozwalała się zapoznać zarówno z pracami nagrodzonymi,²⁴ jak pochodzącymi ze zbiorów muzealnych i wreszcie z dziełami artystów specjalnie zaproszonych. Poszczególne części to: wystawa pokonkursowa, wystawa zaproszonych przez członków Rady Programowej, „Między ładem i chaosem” oraz „Tajemnica podróży”. Trzeba zwrócić uwagę na wkład autorów pracujących w tutejszej galerii: Barbary Major i Piotra Głowackiego, a także znakomitą aranżację, zwłaszcza górnej sali. Franciszek Kłak posługując się ubogimi środkami, zwykłymi materiałami (np. tektura) potrafił równocześnie wyeksponować prace uczestników wystawy i stworzyć samoistne, przestrzenne dzieło, zamknięte ścianą fotograficznej kompozycji. „Chrystus Bolesławicki” Zbigniewa Frączkiewicza, nadaje zwykłe-

mu galeryjnemu wnętrzu charakter nieomal sakralny.

Niestety, czterotomowy katalog imprezy pozostawia wiele do życzenia, choć na pierwszy rzut oka robi bardzo dobre wrażenie. Wydawnictwo tej rangi wymaga jednak większej staranności. Są to publikacje dwujęzyczne – wszystkie teksty przetłumaczono na język angielski, co jest już normą w wydawnictwach tego typu. Nie podano jednak nazwiska tłumacza, więc nie wiadomo, pod którym adresem czynić ewentualne uwagi. Usterki mogą też wynikać z niedbałości składu komputerowego. Anonimowy pozostaje również autor projektu graficznego. W reprodukcjach całkowicie zmieniono koloryt niektórych obrazów. A już szczególnie przykre jest odwrócenie do góry nogami obrazu Miry Żelechower-Aleksium „Wspólne wejście”, przedstawiającego wizję wspólnej drogi żydów i chrześcijan na Górę Synaj ku tablicom Dekalogu!

Triennale Sacrum jest przedsięwzięciem, którego ranga wykracza daleko poza lokalną. Wezło ono – miejmy nadzieję na długo – w programy częstochowskiej działalności kulturalnej.

Władysław Ratusiński

¹ Muzeum Częstochowskie, Ratusz, październik 2003. Komisarz wystawy – Bartosz Frączek

² Przemówienie w UNESCO w Paryżu, 2 czerwca 1980

³ j. w.

⁴ j. w.

⁵ Homilia w czasie Mszy św. dla artystów w Brukseli 20 maja 1985

⁶ j. w.

⁷ Spotkanie z przedstawicielami świata nauki i sztuki w Wiedniu, 12 września 1983

⁸ j. w.

⁹ Przemówienie do artystów i dziennikarzy w Monachium, 19 listopada 1980

¹⁰ Homilia w czasie Mszy św. Jubileuszu Roku Odkupienia dla artystów, Rzym, 18 lutego 1984

¹¹ Przemówienie do artystów i dziennikarzy w Monachium, 19 listopada 1980

¹² j. w.

¹³ Homilia do artystów, Bruksela 20 maja 1985

¹⁴ Artysta uczestniczy również w wystawie „Tajemnica podróży” V Triennale Sztuki Sacrum

¹⁵ Oprócz przykładowo omówionych, w wystawie wzięli udział: Leon Maciej, Katarzyna Maciej, Arkadiusz Maciej, Dariusz Słota, Marian Pańek, Władysław Ratusiński, Agnieszka Korczak, Jakub Jakubowski

¹⁶ Homilia podczas Mszy św. dla artystów w Brukseli, 20 maja 1985

¹⁷ List do artystów, 2000

¹⁸ j. w.

¹⁹ j. w.

²⁰ w programie Festiwalu Sztuk „Sacrum”

²¹ Na marginesie można wyrazić zdziwienie, że między blokiem koncertów i spektakli a przeglądem filmowym Festiwalu Sztuk „Sacrum”, jak gdyby w jego kontekście, zorganizowano w salach Miejskiej Galerii Sztuki komercyjny III Festiwal Medycyny Naturalnej, w którym do tej medycyny między innymi zostały zaliczone praktyki astrologiczne, wróżbiarskie, magiczne.

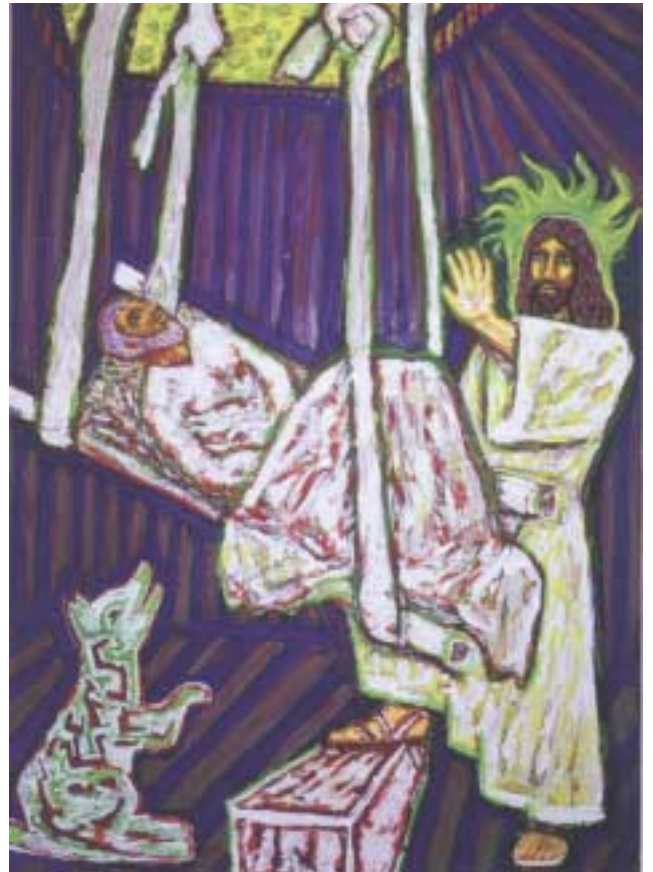
²² Ośrodek Praktyk Teatralnych „Gardzienice”, „Odświeżanie pamięci, Starożytna Grecja i Kosmos Gardzienic”, 28, 29 listopada 2003

²³ w Częstochowie w 2001 roku

²⁴ Grand Prix I nagroda Ministra Kultury – Krzysztof Kiwerski – malarstwo; II nagroda Prezydenta Miasta Częstochowy – Andrzej Marian Bartczak – Wojciech Kilar „Missa pro pace”, książka artystyczna; III nagroda Dyrektora Miejskiej Galerii Sztuki – Violetta Kulikowska – Parkasiewicz „Nadzieja IX”, rysunek; wyróżnienia za zestawy prac: Tomasz Chudzik, s. Natanaela, Marta Milewska, Marian Wołczuk.



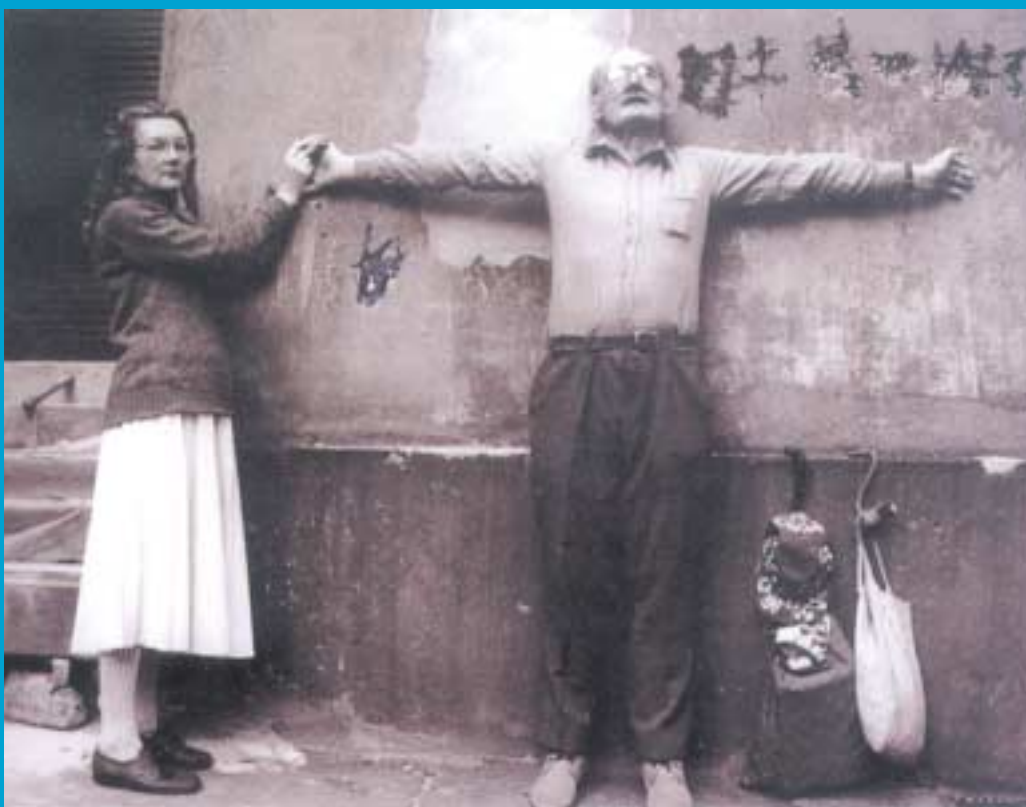
Zbigniew Treppa
„Mystery of faith”
fotografia



Krzysztof Skarbek
„Uzdrowienie paralytyka”
akryl, płótno



Jarosław Modzelewski
„Martwa natura z kwiatami”
2001, płótno
tempera żółtkowa



Marta Milewska – „Droga Krzyżowa” – wyróżnienie na wystawie „Sacrum” pokonkursowej



Krzysztof Kiwerski – „Zaćmienie” – Grand Prix, I nagroda Ministra Kultury na wystawie „Sacrum” pokonkursowej